

Monika Sawicka

SERWANTKA



Janusz Leon Wiśniewski

autor bestsellerowej powieści „Samotność w sieci”:

„Zabawna i wciągająca opowieść o tym, czego pragną współczesne kobiety.

Inteligentna ironia doprowadzona nieomal do perfekcji.

Nieomal, bo i tak nie ukryła wrażliwości autorki”.

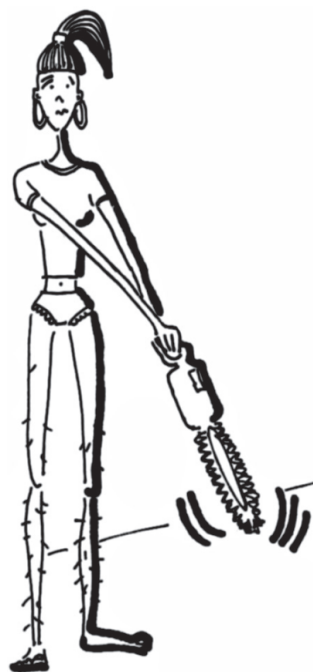
Wydawnictwo *MAGIA SŁÓW*



Monika Sawicka



SERWANTKA



Wydawnictwo *MAGIA SKÓW*

Servantka

Copyright Monika Sawicka, 2006

PROJEKT OKŁADKI:
Mateusz Szafraniec
Monika Sawicka

SKŁAD I ŁAMANIE:
Mateusz Szafraniec

ILUSTRACJE:
Anna Król

KOREKTA:
Anna Sochocka

WYDAWCA:
Wydawnictwo Literackie Magia Słów
Monika Sawicka
www.monikasawicka.pl

DRUK I OPRAWA:
Oficyna Wydawnicza Read me
Warszawa, ul. Mińska 25
Drukarnia w Łodzi
ul. Olechowska 83

DYSTRYBUCJA:
Hurtownia Książek
PLATON
Warszawa
ul. Kolejowa 19/21
www.platon.com.pl



*Anioł to ktoś, kogo Bóg Ci zsyła
niespodziewanie i nie dla zasługi,
by mógł Tobie w ciemności
zapalić kilka gwiazd.*

Specjalne podziękowania dla patronów medialnych, którzy otoczyli anielskimi skrzydłami moje wydawnictwo i książki. Dzięki Wam jeszcze mocniej zaczęłam wierzyć w Ludzi. Wierzę mocno także w to, że nie przez przypadek i nie bez przyczyny LOS postawił Was na mojej drodze. Jeszcze raz bardzo gorąco Wam dziękuję.

Szczególne podziękowania składam osobom, które się mną „opiekowały” w trakcie patronowania „Kruchości porcelany” i „Serwantce”:

1. Monice Piaseckiej, Ewie Smolarczyk i Joasi Szczypek z miesięcznika „Olivia”
2. Ani Sochockiej z magazynu „?dlaczego”
3. Kasi Madey, red. nac. dwutygodnika „Świat seriali” oraz Ani Zwolińskiej
4. Małgosi Nocuń z wydawnictwa G&J (miesięcznik „Feniks”)
5. Magdzie Turczyk z miesięcznika „Z życia wzięte”
6. Edycie Turczyńskiej z portalu księgarskiego Książka.net.pl
7. Danusi Zygarowskiej z hurtowni książek PLATON
8. Kasi Struś, która tworzy piękną biżuterię (www.shyshine.pl)
9. Arkowi Grzegorzcykowi, red. nac. „Echa Miasta Łódź”
10. Jakubowi Osice i Danielowi Białasowi z radia Bieszczady, Sanok
11. Tomkowi Duszyńskiemu z radia Aplauz, Wrocław
12. Jakubowi Borkowskiemu z akademickiego radia LUZ, Wrocław
13. Justynie Pisarskiej z radia Mazury, Ostróda
14. Tomkowi Woźniakowi z radia Oko, Ostrołęka



15. Kasi Mazur z radia Park, Kędzierzyn Koźle
16. Andrzejowi Bartkowiakowi z radia RMI FM, Poznań
17. Hani Blokesz z radia Vanessa, Racibórz
18. Ewie Podlaskiej z radia Victoria, Łowicz
19. Andrzejowi Drelichowi z radia Weekend, Chojnice
20. Markowi Jankowskiemu z radia Zielona Góra
21. Małgosi Potockiej, dyrektor Łódzkiego Oddziału Telewizji Polskiej, Pr. III oraz Iwonie Łękawie z TVP 3, Łódź
22. Piotrowi Samborowi z radia Aleks, Zakopane
23. Paulinie Sygnatowicz z portalu Korba.pl
24. Zbyszkowi Zi Zi Zeglerowi z radia Pogoda, Łódź
25. Arkowi Szostakowi z radia TAK FM, Kielce
26. Ani Paczuskiej z akademickiego radia Kampus, Warszawa
27. Prezesowi radia Eska Nord
28. Pawłowi Miłoszowi z portalu: female.pl
29. Karolowi Kosińskiemu z portalu : twojecentrum.pl
30. Dwutygodnikowi Sekrety serca
31. Jackowi Wojnarowskiemu z portalu : e-kobiety.pl

Dziękuję także Pani Edycie Jungowskiej za to, że zechciała czytać „Serwantkę” w odcinkach.

Pragnę z całego serca podziękować bliskim mi osobom, bez których wiele ważnych rzeczy nigdy by się nie zdarzyło. Mojej Mamie, Tacie, Babci i Dziadkowi, Mężowi, Przyjaciołom i Znajomym. Mojej Córce, która jest w tym trudnym wieku między 11. a 21. rokiem życia, zabiera mi pół zdrowia i przysparza zmarszczek, gdyż ma zapewne cichą umowę z jakimś kosmetycznym koncernem.

* * *



Servantka



*...Nie rzuca się kobiet, bo płaczą
W rogu wszechświata zwinie
Gwiazdom chłodnego blasku zazdroszczą...*

Halina Poświatowska

*Moje serce może być jak małe niebo,
ale piekło też można w nim urządzić.*

Phil Bosmans

Ponieważ moje małżeństwo legło w gruzach jak domek z kart, musiałam odreagować. Mąż mnie zostawił bez grosza. Hulaj dusza, piekła nie ma! Postanowiłam się nad sobą nie rozczulać, bo w zasadzie to powinnam otworzyć szampana i strzelać na wiat. Ale jakoś nie mogę. Coś mnie kluje w okolicy serca i jak na złość nie chce przestać. Taka już głupia ta nasza kobieca natura, że rozsypujemy się na drobniotki kawałeczki. Nie dam się tak łatwo. W końcu jestem Heleną, może nie tyle piękną, co trojańską (patrz: koń). Niby jadę do przodu, ale tak jakoś... ciężko. Zupełnie jak w życiu. Przez cały czas na zaciągniętym ręcznym.

Niby do przodu, niby nie do tyłu, a jednak, tak jakoś... Brak tchu. Powietrza brak. Światła. Tak jakby coś mnie zżerało od środka.

Dobrze, że zadzwonił telefon, bo moje rozczulanie się nad sobą niebezpiecznie wkraczało na złe tory.

- O! Jesteś? Fajnie, będziemy za 20 minut.
- Wera, ale prawdę mówiąc, nie mam siły, położyłabym się...
- bronię się nieśmiało.
- Wspaniale. Ty się położysz, a my ci z Kariną opowiemy, jak było nad morzem.

Cudownie. Tylko mi było trzeba roześmianych, zadowolonych z siebie, kwitnących trzydziestokilkulatek. W dodatku na pewno opalonych. Dobiją mnie niechybnie. Dzwonek złapał mnie pod prysznicem, gdzie weszłam w nadziei, że może zdążę jeszcze zmyć z siebie ten cały stres związany z opuszczeniem przez męża. Nie zdążyłam.

– Trojko moja kochana, jak ty, biedactwo, wyglądasz! – rozczuliła się Weronika.

– Chodź no tu bliżej – brutalnie przyciągnęła mnie do siebie Karina. – Powspółczuję ci trochę.

– Puść, bo mnie udusisz. I tak już padam ze zmęczenia. Stresy, mąż, szalejąca babcia, matka karmiąca ojca Pedigree Pal... To nie na moje nerwy.

– Masz, przyczep sobie do lodówki – powiedziała Wera, wciskając mi do ręki kartkę.

INSTRUKCJA OBSŁUGI JEDZENIA

1. CHLEB

Ziarenka sezamu i maku to jedyne oficjalnie akceptowane „plamki”, jakie można zauważyć na powierzchni bochenka chleba. Włochate, białe lub zielone placki dobitnie świadczą o tym, że twój chleb zamienił się w eksperyment z laboratorium farmaceutycznego.

2. JEDZENIE W PUSZKACH

Każda puszka z jedzeniem, która przybrała kształt piłki musi być natychmiast usunięta. Ostrożnie i delikatnie.

3. MARCHEWKA

Jeżeli możesz ją zawiązać na supelek, to znaczy, że nie jest świeża.

4. PŁATKI ZBOŻOWE

Generalna zasada mówi, że płatki należy wyrzucić, jeśli termin ważności upłynął co najmniej dwa lata temu.

5. SOS DO FRYTEK

Jeżeli możesz go wyjąć z pojemnika i odbijać po podłodze, to znaczy, że się nie nadaje do jedzenia.



6. NABIAŁ

Mleko jest zepsute, kiedy zaczyna wyglądać jak jogurt. Jogurt jest zepsuty, kiedy zaczyna wyglądać jak twarożek. Twarożek jest zepsuty, kiedy zaczyna wyglądać jak żółty ser. Chociaż żółty ser to nic innego jak zepsute mleko i już nie może być bardziej zepsuty. Ser cheddar jest zepsuty, kiedy zaczyna wyglądać jak brie, przy czym masz świadomość, że takiego gatunku nie kupowałaś.

7. JAJKA

Jeśli coś puka od środka, starając się wydostać ze skorupki, to jajko prawdopodobnie jest nie pierwszej świeżości.

8. PUSTE OPAKOWANIA

Wkładanie pustych opakowań ponownie do lodówki to stara sztuczka, ale przynosi skutek tylko wtedy, gdy mieszkasz z kimś lub masz kogoś do prowadzenia domu.

9. TERMINY WAŻNOŚCI

To NIE JEST chwyt marketingowy, mający na celu skłonienie cię do wyrzucenia dobrego jedzenia tylko po to, żebyś więcej wydała na kolejne zakupy. Może powinnaś powiesić w kuchni kalendarz.

10. MAKA

Mąka jest zepsuta, kiedy się rusza.

11. MROŻONKI

Mrożonki, które stały się integralną częścią oblodzonego zamrażalnika prawdopodobnie i tak staną się niejadalne, zanim wydłubiesz je za pomocą kuchennego noża.

12. SAŁATA

Nie nadaje się do jedzenia, jeśli nie możesz jej usunąć z lodówki bez użycia papieru ściernego. Ani wtedy, gdy jest już w stanie płynnym.

13. MAJONEZ

Jeżeli po spożyciu nastąpi gwałtowna reakcja żołądka i reszty przewodu pokarmowego, to znaczy, że majonez był zepsuty.

14. MIĘSO



Jeżeli otwarcie lodówki powoduje gromadzenie się bezpańskich psów przed twoim domem, to oznacza, że mięso się zepsuło.

15. ZIEMNIAKI

Świeże ziemniaki nie mają korzeni, lodyg ani bujnego listowia.

16. RODZYNKI

Nie powinny być twardsze niż twoje zęby.

17. SÓL

Na szczęście nie psuje się.

18. PRODUKTY NIEOZNAKOWANE

Wszystko, co nie jest w oryginalnym opakowaniu, automatycznie staje się podejrzane.

19. MDŁOŚCI

Wszystko, co wywołuje mdłości jest niejadalne, chyba że to resztki wczorajszej, własnoręcznie przez siebie przygotowanej kolacji.

20. CHOMIK

Generalnie jedzenie nie powinno być przechowywane dłużej, niż trwa przeciętny okres życia chomika. Postaraj się o to przyteczne zwierzątko i trzymaj je obok.

– Bardzo śmieszne, naprawdę, że niby co? Jak jestem sama, to rady sobie nie dam? A co ja się wykarmić nie umiem?

Karina podeszła do lodówki i otworzyła ją, zanim zdążyłam zagrozić jej drogę.

– Dokładnie tak jak myślałyśmy – krzyknęła w stronę Weroniki.

– Czyli malowanie i światło? – Weronika nie miała wątpliwości.

– Malowanie, światło i kawałek sera z poduszką powietrzną. I coś, co kiedyś było prawdopodobnie kielbasą zwyczajną, a teraz jest nadzwyczajną zieloną.

– Dobrze dziewczyno, że masz nas. Najpierw cię nakarmimy, a później opowiemy, co się wydarzyło nad morzem. To cię rozbawi. Wiesz, że byliśmy we Władysławowie, prawda?

Oczywiście, że zapomniałam.

– Jasne, że wiem – lżę jak pies i czuję, jak mi dym z uszu leci, a nos

wydłuża się niebezpiecznie. Jeszcze moment i zamienię się w kawałek drewna.

Karina rozsiadła się bezczelnie, zajmując połowę mojego zdezelowanego łóżka, wzięła głęboki oddech, pociągnęła porządny łyk wina i się zaczęło.

– Mieszkaliśmy z naszymi mężami w całkiem nawet przyzwoitej kwaterze. I przez pierwszy tydzień było fajnie. Wyobraź sobie nasze zdumienie, gdy w porze śniadania, w ósmym dniu naszego beztroskiego wypoczynku, pod dom podjeżdża Skoda Oktavia, a z niej wysiada Lucyna.

– „Ta” Lucyna? – upewniam się.

– „Ta” Lucyna. Mówię ci, jak ją zobaczyliśmy, to wszyscy straciliśmy apetyt. Gęba jej się po prostu nie zamyka. Jazgotała tak, że wczasowicze z okolicznych domów wylegli na tarasy zobaczyć, kto robi tyle hałasu. Wytoczyła się z auta i przyturlała w naszym kierunku. Ciągnęła za sobą Wojtka. Wojtek ciągnął za sobą dwóch, co ukradli księżyc – Jacka i Placka. Mówię ci, te dzieciaki wyglądają jak zawodnicy sumo. Chłopaki ciągnęli za sobą psa nieokreślonej rasy. Ten pies był kwadratowy. Wojtek, oprócz dwóch złodziejasków, taszczył trzy walizki. Założę się, że w dwóch było jedzenie. Ale to jeszcze nie wszystko. Wera, polej – niespodziewanie przerwała potok słów.

Wera polala. Ostatnio dziewczyny gustują w różowym winie, najlepsze jest Carlo Rossi, Kalifornia. Oczywiście je na to stać, ale ja niedługo przejdę na jabola za 3,50.

– Kiedy nas zobaczyła, ukazała uzębienie w całej okazałości, a w słońcu błysnęły jej, dopiero co wstawione, złote koronki.

– Trojka, ty się zastanów, kto w dzisiejszych czasach wstawia sobie złote koronki?

– Ruska ze Stadionu Dziesięciolecia – odpowiedziałam natychmiast.

– Albo snob bez odrobiny dobrego gustu.

– Nam już się kompletnie odechciało jeść po tych koronkach. Byliśmy zmuszeni się przywitać. Modliłam się w duchu, żeby

tylko nie chciała się z nami całować. Wiesz, jaka ona jest zwykle wylewna.

– I co?

– I Boga nie ma.

– Rozumiem.

– Wydaje ci się. Ja jeszcze to jakoś przeżyłam, ale Adam... Dwie godziny mył zęby.

– Nie gadaj! – zaczynałam najwyraźniej dochodzić do siebie.

– A co na to Wojtek?

– Nawet gdyby nie był zbyt pochłonięty wypakowywaniem bagaży, toby nic nie powiedział. Ty wiesz, że oni chyba pół Biedronki wykupili?

– Wera, polej! – zakomenderowała lekko wstawiona Karina.

– Dlaczego znowu ja? – zbuntowała się Weronika.

– Bo tobie najmniej się ręce trzęsą.

– Do wieczora jakoś zleciało. Na szczęście cały dzień prawie nie wychodzili z pokoju, pewnie rozpakowywali te tony żarcia. Nawet zaświtała nam nadzieja, że może będziemy mieli ich z głowy. Rano okazało się, że płonna. Lucyna zeszła na śniadanie, budząc swoimi donośnymi krokami tych, którzy jeszcze szczęśliwie spali, skacowani lub nie. Spokojnie smarowałam sobie kanapkę serkiem naturalnym, a ona ładowała na swoją pszenną bułkę pół słoika dżemu. Nagle, ni stąd, ni zowąd, przywalila mi.

– Kto? Jak? Lucyna cię uderzyła? – zaniepokoiłam się nie na żarty.

– Nie dosłownie. Ale uważaj. Rozpoczęła się rozmowa. Już nie pamiętam, kto pierwszy zaczął, zresztą to bez znaczenia. Ot co, wiesz, taka rozmowa prowadzona tylko po to, by nie panowała tak zwana niezręczna cisza. A że teraz wszyscy na wszystko narzekają, wiesz, bezrobocie... Och, sorry, Trojka – zreflektowała się, ale ciut za późno, Karina. – No to każdy z nas troszkę ponarzekał, niektórzy tylko tak dla formy, a ta zaczyna ryczeć. „Bo ja wiem, czy jest tak ciężko? Niektóre to z dupą siedzą w domu od kilku lat, nie pracują, mężowie na nich

tyrają, a w dodatku teściowie im pomagają”. I wbiła we mnie te swoje małe, wredne, świdrujące oczka.

– Walnęłaś jej? – zapytałam z nadzieją.

– Chciałam, ale się powstrzymałam. Pamiętałam ćwiczenia koncentracyjne z jogi. Liczę sobie cichutko do dziesięciu. I już miałam dziewięć, gdy ta źmija znowu zasyczała. „A tak w ogóle, to ja nie rozumiem, dlaczego ty (żebyś słyszała pogardę w jej głosie) miałabyś zarabiać więcej ode mnie”.

– Tym razem jej przywaliałaś? – zniecierpliwiłam się. – Wera, polej – teraz ja wydałam dyspozycję.

– Wyobraź sobie, że nie. Wprawdzie wyczuwałam znaczne pogorszenie aury, ale jeszcze się w sobie zebrałam. I mówię: „Lucyno droga, chociażby dlatego, że jestem magistrem ekonomii i magistrem politologii. Przez te wszystkie lata, kiedy to, jak to delikatnie ujęłaś, siedziałam w domu z dupą, skończyłam dwa fakultety, a aktualnie otworzyłam kabel doktorski”.

– Przewód chyba – podpowiedziałam usłużnie.

– Dzięki. „...Biegłe mówię po angielsku, hiszpańsku i niemiecku. Ty zaś, o ile mnie pamięć nie myli, skończyłaś Przystawkową Szkołę Cukierniczą (nie ujmując nic pozostałym absolwentom) i oprócz nadwagi nie dysponujesz żadnymi innymi własnymi osiągnięciami”. „Wiesz co? – splunęła jadem Lucyna. – Te twoje studia są gównem warte”.

– Tylko mi nie mów, że jej nie walnęłaś?

– W pewnym sensie tak. Kiedy wstawalam od stolika ze słowami: „A teraz wybac, idę troszkę poleżeć z dupą”, zrzuciłam na nią talerze z resztkami jedzenia.

– Dokładnie tak było – potwierdziła milcząca, acz polewająca wino Wera.

– Ja bym jej walnęła. Profilaktycznie. Szkoda, że jej, Karinko, nie przywaliałaś.

– Wiesz, z perspektywy czasu to i ja żałuję. Wera, już mi zaschło w gardle.

– Mam połączyć?

– Nie. Tak. Polej i teraz ty opowiedz Trojce o akcji w pubie.

Wera zanurkowała do przepastnej torby, w której, jak się okazało, przytaszczyły kilka butelek wina, i wyciągnęła bordeaux tym razem. Białe.

Wsadziła sobie butelkę między nogi, wbiła korkociąg i zgrabnie wyciągnęła korek. Naląła z czubkiem, szczerze, od serca, i zaczęła opowieść.

– Poszliśmy we czwórkę do pubu, wieczorem. Kulturalnie, posiedzieć, powdychać trochę dymu z papierosów, wiesz, normalnie. Ale najpierw uzgodniliśmy, że idziemy się pobawić, a nie sponiewierać. Wymogliśmy na Adamie i Tomku przysięgę, że nie będzie żadnej wódki. Po piwku i starczy.

Zgodzili się, choć niechętnie. A trzeba ci wiedzieć, że oni tam prawie nie trzeźwieli. Siedzimy sobie kulturalnie, nasi panowie grzecznie, ani słowa o wódce. Nawet piwa nie zamówili, co już wydało nam się podejrzane. Za to dosyć często wychodzili sikać. Razem. Jednocześnie.

Po czwartym siknięciu, kiedy właśnie byli w trakcie, podchodzi do naszego stolika wdzięcznym krokiem kelnerka i stawia przed nami dwie setki wódki.

Wera odprawia kelnerkę: „Przepraszam panią, ale to pomyłka. Niczego nie zamawialiśmy. Proszę to zabrać”. Kelnerka nerwowo przestępuje z nogi na nogę, a na horyzoncie pojawia się Adam z miną mocno niewyraźną. Na migi przywołuje kelnerkę, a za bufetem czai się Tomek. Obydwaj robią do niej i do siebie głupie miny, w dodatku myśląc, że my tego nie widzimy. Kelnerka ewakuowała się z tymi setkami i zbliża się w stronę baru. Podchodzi do niej druga kelnerka i mówi, szeptem (jej się tak zdawało, że to było szeptem): „Mówiłam ci, idiotko, że do toalety masz to zanieść!!!”.

Karina wstała i z pełnym dystyngowaniem udała się w stronę drzwi z narysowanym trójkątem. Ja leczę za nią. Wchodzimy, a tam,

oprócz panów sikających do pisuarów, nasi mężowie stoją przy umywalce i wychylają kolejkę wódki. Mówię ci, nie wiem, kto był bardziej zakłopotany naszą obecnością w męskim WC – faceci z penisami w rękach, czy nasi mężowie z pustymi kieliszkami. Wcale nie musiałyśmy nic mówić. Do samiutkiego końca urlopu panowie chodzili na palcach. Czasami warto wejść do męskiego. Wreszcie też zrozumialiśmy, jak musiałaś się czuć, wtedy, gdy na przystanku autobusowym wypadła ci podpaska.

– Przestań – warknęłam złowrogo. – Bo ci przypomnę, jak w drodze powrotnej z kina, w ósmej klasie, zsikałaś się w swoje piękne czerwone ogrodniczki.

– Zesikałam się właśnie dlatego, że to było ogrodniczki. Nie zdążyłabym ani ich zdjąć, ani wbiec na czwarte piętro do mieszkania. Ja się nie obrażam tak jak ty.

– O co ci chodzi? To było 20 lat temu.

– Tak? To po co mi przypominasz, jędzo?

– Tak sobie. Wiesz, analogia. Nie marudź, tylko polej.

Usnęłyśmy. Dobrze, że mam szeroki tapczan.

Dziewczyny we śnie przyjmują ekwilibrystyczne pozy, różne części ich ciał znajdują się w różnych częściach łóżka. O tym, że obudzę się rano niepowykręcana jak po gościcu stawowym, postępowym nawet nie miałam co marzyć.

* * *

Koniec bezczynności, uzalania się nad sobą. Koniec z obżeraniem się, piciem piwa i ogólnie – opieprzaniem.

Dostałam pracę. Nic wielkiego, ale od czegoś trzeba zacząć. Będę udzielała rad sercowych w magazynach dla nastolatek. Zaczynam od dzisiaj. Dostałam kilkadziesiąt listów do redakcji. Co my tam mamy?

Zastanawiam się, czy dziewczyna powinna golić okolice narządów płciowych? Słyszałam, że chłopców to kręci. Jak najlepiej pozbyć się tamtych włosków?



Można zastosować do tego depilator elektryczny?

Ania

Rany Boskie! Ile ona ma lat? 15. To dopiero co zdażyły jej na dobre urosnąć, a ona już chce je depilować, bo „chłopców to kręci”!!!

Może i ma rację, sama kiedyś się ogoliłam za zero, ale oczywiście jej tego nie napiszę.

Fajnie było, dopóki nie zaczęłam zarastać szczecina. Myślałam, że zadrapię się na śmierć...

Wymyśliła!!! Depilator elektryczny!!!

Dlaczego nie od razu elektryczna pilarka, podkaszarka też może być. Zamiennie można włoski podpalić, ale należy mieć w pogotowiu wiadro z wodą. I uwaga! Poważna wada – straszny swąd.

Można też podłączyć się do najbliższego gniazdka, wkładając palce do kontaktu – wszystkie włoski się spalą i uzyskamy efekt dodatkowy, takie mianowicie owłosienie, jakie posiadają osoby rasy czarnej. Jednak nie polecam. Rozważ także kosę spalinową. Bierz ją w garść, odpalaj i... jedziesz, jedziesz, jedziesz!

To prawda, że wielu chłopców lubi, gdy dziewczyna ma zgolone owłosienie łonowe. Jednak decydując się na taki zabieg, należy uważać, ponieważ te okolice są szczególnie delikatne. Depilator elektryczny w żadnym wypadku się do tego nie nadaje! Wybierz środek przeznaczony do depilacji miejsc intymnych, możesz też zastosować maszynkę do golenia lub udać się do gabinetu kosmetycznego na depilację woskiem. Polecam jednak mniej bolesną, najnowszą metodę, zwaną cukrowaniem. Niemyklużone jednak, że po depilacji będziesz odczuwać dyskomfort, mogą pojawić się krostki, wywołujące pieczenie i swędzenie narządów płciowych. Dlatego zastanów się dobrze, zanim to zrobisz. Jest wiele innych rzeczy, które kręcą chłopców.

Troja

Uff. Straciłam właśnie dziewictwo. Pierwsza rada za mną.

Często chodzę do mojej dziewczyny do domu. Jej mama traktuje mnie jak

domownika i każe mi zmieniać buty. OK. Chce mieć czysto. Rozumiem. Mam tam swoje klapki i tyle. Ale problem w tym, że gdy zdejmę buty i zostawię je w przedpokoju, to strasznie śmierdzą. No i moje skarpetki też. Sorry, że o tym piszę, ale jestem załamany. Myję nogi, używam dezodorantu do stóp, ale to niewiele pomaga. Poradźcie co zrobić, bo się głupio czuję...
Tomek, lat 16

Nooo, to jest problem. Nie ma nic gorszego od zajeżdżających skarpetek. Sprawa jest poważna. Nie możemy narażać przyszłej teściowej na takie zapachy, bo chłopak będzie miał przechlapane.

Wielu chłopcom intensywnie pocą się stopy i wydzielają przykry zapach. Oto sposoby, by temu zaradzić: myj nogi rano i wieczorem, raz w tygodniu wymocz w wodzie z dodatkiem soli ograniczających pocenie się stóp. Codziennie zakładaj czyste skarpetki i nie noś dwa dni pod rząd tych samych butów. Ich wewnątrz spryskuj specjalnymi odwadniaczami, np. Kivi Fresh Force. Noś przy sobie parę czystych skarpetek. Jeśli zdejmujesz buty u swojej dziewczyny i poczujesz przykry zapach, to zatkaj każdy but zwiniętą chusteczką higieniczną. Potem gazem do łazienki, umyj nogi, osusz papierem toaletowym, załóż czyste skarpetki (brudne wsadź w torbę foliową i schowaj do plecaka) i już możesz czuć się swobodnie.
Troja

Wow, jestem genialna. Mogę to robić przez całe życie!
Ooooo, a to cóż? Zaczyna się interesująco.

Sebastian i ja współżyjemy od kilku tygodni. A raczej próbujemy się kochać. Nie wychodzi nam, bo jak tylko Sebek założy prezerwatywę, to zaczyna swędzieć go członek i wyskakuje mu tam wysypka. On mówi, żeby spróbować bez gumki, ale ja się nie zgadzam. Nie biorę pigulek, mam przecież dopiero 14 lat i nie chcę zająć w ciążę. Czy to możliwe, że on ma alergię na gumki?
Ewelina

Przyznam szczerze, że wymiękłam po tych „gumkach”. Cóż za subtelna 14-latka.

Rzeczywiście, wygląda na to, że Twój chłopak ma alergię, lecz nie tyle na prezerwatywy, ile na środek, jakim są nawilżane (uczulenie na lateks zdarza się jeszcze rzadziej). Nie ma powodu do paniki, to żadna choroba. Wystarczy troszeczkę poppróbować z innymi prezerwatywami. Jest ich na rynku cała masa. Niech Sebastian kupi kilka garniturów (najlepiej w aptece, z datą ważności i atestem) i wypróbuje, które nie wywołują reakcji alergicznej. Najmniejsze prawdopodobieństwo uczulenia dają prezerwatywy w ogóle nienawilżane i bez talku. Jestem pewna, że Twój chłopak znajdzie te właściwe. Życzę powodzenia.

Troja

O rany! Mam nadzieję, że się przyzwyczaję. Tylko skąd ja mam to wszystko wiedzieć? Najwyraźniej muszę się doedukować. Zadzwońłam z radosną nowiną do Kariny (jeja, ale ja jej zazdroszczę tego imienia). Kiedy ją poznałam, to był pierwszy i najpoważniejszy powód, żebym ją od razu znieubiła. Przy moim imieniu powinnam chyba znieubić wszystkich. Pocieszam się, że przynajmniej tym się wyróżniam. Matka miała fioła (teraz niestety jej przeszło) na punkcie historii starożytnej, a szczególnie dziejów Troi. Tak ją to zafascynowało, że w chwili całkowitego braku poczytalności postanowiła dać mi na chrzcie Helena.

Kto wie? Nie tracę nadziei, że kiedyś będę przyczyną wojny. Wojenki. Bitwy. Bitewni. Starcia. Może być chociażby pojedynek.

Karina na wieść, że dostałam pracę, wydała z siebie radosny pisk, narażając moje bębenki na dyskomfort. Po tym jak przestała piszczeć, oznajmiła, że zaraz u mnie będzie.

I była. Po drodze zgarnęła jeszcze Weronikę, ze sklepowych półek trzylitrową butelkę szampana Sowietskoje Igristoje. Weronikę zapewne zgarnęła prosto z łóżka, bo biedaczka wyglądała tak, jakby właśnie się ocknęła.

– Opowiadaj – wydała komendę, rozsiadłszy się na moim

rozgrzebanym jeszcze tapczanie. Następnym razem, zanim do nich zadzwonię, muszę starannie to przemyśleć.

– A co tu jest do opowiadania? Mam pracę i to jest najważniejsze.

– Jasne. Ale co będziesz robiła?

– Cóż... tylko się nie śmiejcie. Zostałam redakcyjną, jakby to ująć... będę udzielała porad. Z zakresu dziewczęco-chłopięcego. Już dostałam kilka worków listów. I nawet odpowiedziałam. Wiecie, to bardzo odpowiedzialna praca...

– Pokaż – Karina zaczęła myszkować po pokoju.

– Nie mam mowy – odpowiedziałam najpoważniej jak się tylko dało.

– Wypchaj się, sama znajdę.

– Nic z tego. W chwili przytomności umysłu, zanim wpadłyście jak tornado, zdążyłam to wszystko ukryć – wyjaśniłam triumfalnie, wlewając w siebie cały kielich szampana.

Przeczuwałam, że wkrótce zaczniesz pelzać po dywanie.

– Schowałaś, powiadasz? W tym twoim igloo nie ma za dużo możliwości – mruknęła Karina i udała się do łazienki.

Tylko nie to. Tylko nie kosz na brudną bieliznę.

– Wiesz co, Troja, u Klosa to ty byś kariery nie zrobiła. Wera, wszystko jest w koszu. Zaraz go tu przytacham – powiedziała Karina i stęknęła.

– Ani mi się waź! Nie ma mowy. To jest prywatna korespondencja. Konstytucja...

– Świnia jest niewrażliwa. Konstytucją się zasłaniasz. Nic zrozumienia dla koleżanek.

– Dobrze. Pójdziemy na kompromis. Chcecie się pośmiać, tak? Wobec tego zapraszam was do Galerki na lody. A tak naprawdę się martwię, czy sobie poradzę – jęknęłam pojednawczo.

– Jak masz sobie nie poradzić? Przecież jesteś specem od public relations. Pijarowcem jesteś, kobieto.

– Tak, ale nie od spraw sercowych. Wiecie, że moje życie małżeńskie legło w gruzach, erotycznego nie posiadam i moja



wiedza z tego zakresu jest znacznie poniżej dzisiejszych 15-latek.

– Nie martw się. Jak będziesz miała jakieś wątpliwości, to ci pomożemy. A zresztą, od czego jest literatura fachowa? Dodaj do tego swoją kobiecą intuicję i gotowe.

– Trojka, sztachnij feromona i do dzieła! – Karina przemówiła słowami Ośła.

– Pomożecie? – przemówiłam do nich jak Gierek do robotników.

– Pomożemy – huknęły donośnie moje przyjaciółki.

– Nie rozśmieszaj mnie – spoważniałam jednak. – Moja intuicja nie była uprzejma mnie zaszczyścić swoją obecnością do tej pory. Spała sobie smacznie, gdy popełniałam moje wszystkie życiowe błędy – zakończyłam filozoficznie.

– Trojka, znam cię od piaskownicy. Razem dorastałyśmy. I, o ile dobrze pamiętam, byłaś wprawdzie szalona, ale niesłuchanie odpowiedzialna i rozsądna. Zawsze musiałaś postawić na swoim. Czasami twoja konsekwencja mnie dobijała. Chciałaś góry przenosić. Wszystko zmieniło się, gdy poznałaś Marcina. Twoja odwaga i marzenia wyparowały. Biznes wciągnął cię całkowicie, zabierając marzenia i grzebiąc twoje plany. Zawsze zastanawialiśmy się z Weroniką, co się z tobą stało, przecież ty nigdy nie byłaś uległa. Walczyłaś o każdy pogląd i każdą rację. A tu nagle, ze zbuntowanej, pełnej życia, skrzęcej energią i temperamentem nastolatki przeistoczyłaś się w szacowną, cichutką żonę przy mężu. Czekałyśmy, kiedy eksplodujesz. Ale nie. Ten wulkan w tobie wciąż spał. A teraz, proszę, proszę, czyżby powoli następowała erupcja?

– Proszę, przestań się wymądrzać. I tak czuję się taka malutka.

– Troja, ja cię tylko proszę, żebyś przypomniła sobie, jaka byłaś. Jestem pewna, że wciąż taka jesteś. Nie bój się siebie. Pozwól wrócić tamtej nastolatce. Zobaczysz, wszystko się ułoży.

Dziewczyny się rozechociły perspektywą gigantycznych porcji lodów, przestały wyzywać mnie od różnych hodowlanych

zwierząt i zgodnie pomaszerowałyśmy na obiecane przeze mnie lody. Bo Galerka to szczególne miejsce. Zajmujemy pozycje przy najlepiej usytuowanym stoliku, tak, aby mieć widok na wszystko absolutnie. I obserwujemy.

– Aaaaa – zawołała Wera. – Zapomnialiśmy ci jeszcze o czymś opowiedzieć. Zofija się topiła.

– Wera, nie będziesz już dzisiaj nic piła. Co za Zofija? I gdzie?

– Troja, ja znam swoją granicę. Zapala mi się czerwona lampka, kiedy już mam dosyć.

– Co ty powiesz? A wtedy, w Zakopanem, gdy wypadłaś z sań, to co się stało? Zwarcie w instalacji?

– Nie kpij. Każdemu może się zdarzyć.

– Oczywiście, że może się zdarzyć. Ale tobie zdarza się permanentnie. A któż, jeśli nie ty, na pokładzie boeinga, w czasie lotu na Krete, poganiał pilota? „Szybciej, szybciej, kochany kapitanie!”.

– Nie wiedziałam, że on ma jakieś tam korytarze...

– I nie wiedziałaś, że nie wolno wysiadać na wysokości dziesięciu tysięcy metrów?

– To wszystko przez tę stewardesę...

– Przez ciebie, wariatko. Po jaką cholere żłopałaś tyle tego wina? Malutkie buteleczki, bo malutkie, ale po dziesięciu to nawet Gołota miałby problemy z utrzymaniem równowagi.

– Ja nie miałam.

– Ty nie miałaś. Ty po prostu postanowiłaś wsiąść. Zamarzył ci się przystanek na żądanie? Opowiedz lepiej o tej Zofii, bo na samo wspomnienie tamtego lotu krew się we mnie burzy. Kim jest Zofija?

– To ja – odezwała się podejrzanie milcząca do tej pory Karina.

– Dobra. Mów dalej. Nic mnie nie zdziwi.

– Adam mnie przechrzcil nad morzem.

– Szkoda, że mnie nikt nie chce przechrzcic – zmartwiłam się.

– My cię przechrzciliśmy – z Heleny na Troję.



– To był jedyny humanitarny gest z waszej strony. I nie wiem, czy powinnam się cieszyć. Troja źle mi się kojarzy.

– Przestań, źle kojarzy się co najwyżej koń trojański, chociaż ja bym polemizowała....

– Nie polemizuj, tylko opowiadaj, co było z Zofiją, to znaczy z Kariną. Dlaczego się topiła? Ratownik wpadł jej w oko? – nie mogłam darować sobie odrobiny uszczypliwości.

– Mówiłam ci, że jesteś podła? – upewniała się Karina vel Zofija.

– Wiele razy, ale dzisiaj jeszcze nie. Przestań! Co to? Nagle poczucie humoru spadło ci poniżej zera? Napij się coli, to ci może wzrośnie poziom kofeiny w organizmie. I leć z tym topieniem.

– Pamiętasz, jak ci mówiłyśmy, że Adam z Tomkiem prawie przez cały czas urlopu raczyli się trunkami różnej maści, w różnych miejscach, nie wyłączając męskiej toalety? „Topienie Zofiji” miało miejsce przed ogólną kompromitacją w męskiej toalecie.

Któregoś dnia, dosyć późno już było, my całe w nerwach, mogłyśmy w zasadzie zakładać, że wrócą nawaleni, panowie przychodzą calusieńcy mokrzy.

Dosłownie, jakby dopiero z wody wyszli. Zanim zdążyłyśmy zapytać, co się wydarzyło, wylał się z nich potok słów. Jeden przez drugiego gadał. Że alarm był w porcie. Że na plaży ktoś tonie (gdzie port? gdzie plaża?). To dzielni chłopcy rzucili się w ubraniach do wzburzonego morza, nie bacząc na czyhające zewsząd niebezpieczeństwo, albowiem mniemali (nie mam pojęcia na jakiej podstawie), iż to Zofija tonie.

– Wera, a dlaczego gadasz jak ksiądz z ambony?

– Dla większej dramaturgii.

– Opowiadaj dalej. Ładnie mówisz.

– I gdy się już było okazało, iż to nie Zofija tonie (na marginesie, nikt nie tonął), to panowie, aby ukoić skolatane nadmiarem wrażeń nerwy, wychylili kilka kolejek, co było widać, słyhać i czuć.

Byli tak poruszeni ewentualną stratą ukochanej Zofiji, że musieli, po prostu musieli wypić trzy połówki Bolsa.

- Hm, no nieźle. Ciekawe, który z nich to wymyślił?
- W zasadzie to jest nieistotne. Najważniejsze, że efekt osiągnęli. Tak nas rozbawili tym łgarstwem, że nie miałyśmy siły się na nich złościć.
- Słuchaj, Troja, trzeba coś z tobą zrobić – Wera przyjrzała mi się uważnie.
- Co masz na myśli? Coś konkretnego? Chcesz mnie wypchnąć z okna, czy może otruć?
- Nie, to w ostateczności. Uważam, że potrzebujesz faceta.
- Przecież ja mam faceta, w postaci męża – przypomniałam.
- Nie rozśmieszaj mnie, bo wczoraj się najadłam śliwek i mnie wydeło. Śmiać się nie mogę z obawy przed eksplozją.
- Będę wdzięczna, jeśli zechcesz eksplodować w bardziej kameralnych warunkach, bo jeśli zrobisz to tutaj, jutro napiszą o nas wszystkie lokalne gazety.
- Oooo, mam! – ożywiła się Karina. – Headline na pierwszej stronie: „Potężna eksplozja w największym centrum handlowym w Łodzi. W późnych godzinach popołudniowych Centrum Handlowym przy ulicy Mickiewicza wstrząsnął ogromny wybuch. Z pobliskich biurowców wypadły szyby, kilkadziesiąt zaparkowanych opodal samochodów zostało zniszczonych. Do tej pory nie wiadomo dokładnie, ile osób zginęło pod gruzami budynku. Ci, którzy przeżyli, znajdują się w szpitalu Akademii Medycyny Pracy na oddziale toksykologii, bowiem zatruli się niezidentyfikowanym do tej pory gazem. Do tej pory jednak żadna organizacja nie przyznała się do zamachu”.
- Nienormalna jesteś, mówił ci to ktoś, kochanie? – zatroskała się o stan umysłu Kariny Wera.
- Oczywiście, że jest. Jak my wszystkie. Wczoraj, gdy do niej zadzwoniłam, powiedziała mi, że nie może ze mną rozmawiać, bo właśnie maluje paznokcie.
- I co z tego? Ja normalnie rozmawiam, nawet jak maluje paznokcie – zdziwiła się Wera.

- Ja też. Ale ona malowała paznokcie swojemu psu, suce konkretnie.
- Na jaki kolor? – dociekała Wera nie wiadomo po co.
- Na czerwony – odpowiedziałam nie wiadomo po co.
- Wy obydwie jesteście szurnięte. Czy to ważne, na jaki kolor? A po jaką cholereę maluje się psu paznokcie? Nie gadam z wami. Idę do domu.
- Chciałam, żeby wyglądała groźniej. Rozumiesz, czerwony kolor na pazurach wygląda tak, jakby ociekała krwią. I ten kolor na pazurach miał dodać jej pewności siebie.
- Groźniej? Jamnik? I pomyśleć, że ja myślałam, że jestem nienormalna.
- Nie żartuj sobie, bo to poważna sprawa jest. Jej pies ma ciężką depresję. Ostatnio weterynarz przepisał jej prozac...
- Weterynarz? Karinie? A co to już lekarzy w Polsce nie ma, wszyscy wyemigrowali za chlebem na Zachód?
- Nie Karinie, tylko jamniczce.
- Tak jest, mój pies dostał prozac – wtrąciła Karina.
- Jaja sobie robisz. Jamnik jedzie na prozacu?
- Jeszcze nie, ale już wkrótce. I istnieje pewne niebezpieczeństwo, bo przez pierwsze dwa tygodnie przyjmowania tego leku ma się podobno myśli samobójcze i można się na przykład z okna rzucić.
- Błagam cię, przestań. Jamnik będzie miał myśli samobójcze i rzuci się z balkonu?
- No sama nie wiem... ale już Karinie zazdroścę. Cała Ameryka bierze prozac i spójrz, jaki to szczęśliwy naród. Stara, a może byś tak poprosiła o drugą receptę?
- Poczekaj, coś ty taka poważna? Jak chcesz, możemy iść już, ale pamiętaj, że w tym tygodniu szukamy ci faceta i doprowadzamy cię do stanu używalności. Powinnaś wyglądać jak ta babka, zobaczcie, co za ciało! – westchnęła Karina, wskazując na przechodzącą obok nas kopię Carmen Electry.
- No. Super. Czysty, żywy silikon – odcięłam się inteligentnie.
- Wybaczcie dziewczyny, ale nie stać mnie. Nie stać mnie nawet na

takie usta, jak ma ona, a co dopiero mówić o reszcie. Piersi, pośladki. – Ręce i nogi też ma pewnie sztuczne. Protezy najnowszej generacji, co? – Karina próbowała pobić rekord uszczypliwości, który zresztą należał do niej.

– Jesteś pewna, że to silikon? A może zazdrość cię zżera? Chcesz się przekonać? – zapytałam prowokująco. – Gdyby tak jej naciąć delikatnie te kształtne, idealne cycuszki, oczom naszym ukazałby się cudny, wysoko przeźroczysty silikon.

Na zakończenie babskiego wieczoru Wera odkryła Amerykę, mówiąc, ni stąd ni zowąd, na cały głos, że w kobiecych czasopismach łąą jak z nut z tym odchudzającym działaniem seksu. Że niby częste uprawianie seksu wpływa rewelacyjnie na sylwetkę, tyle kalorii się rzekomo spala. I ona, Weronika Zawadzka, twierdzi, i może to zeznać pod przysięgą, że częste uprawianie seksu NIE ODCHUDZA, ZWŁASZCZA JAK SIĘ JEST NA SPODZIE.

Fakt. Te rzekomo duże ilości spalanych kalorii podczas orgazmu są przereklamowane. Zdecydowanie więcej spala się podczas zmywania naczyń, prania ręcznego czy odkurzania. Coś czuję, że wolę zmywać te cholerne naczynia, obierać ziemniaki i w ogóle robić za pucfrau, niż używać swego ciała w celach nawet nieprokreacyjnych.

* * *

Na Julię wpadłam w redakcji, kiedy zanosłam pracę domową. Wyglądałam jak nocny koszmar – włos tłusty, przylizany, wyciągnięty sweter i za ciasna spódnica. Z lenistwa nie chciało mi się zakładać stanika, więc zwiślał mi biust. Robienie makijażu także wydało mi się zbyt ciężkie, niestety. Ale największym hitem w moim wizerunku był pryszcz na nosie wielkości pięści. Z takim wyglądem mogłam być atrakcyjna jedynie dla niedowidzącego. Chociaż podobno osoby niewidome na przykład obdarzone są wyostrozonymi innymi zmysłami,



ja zaś nawet intrygująco nie pachniałam. W ogóle nie pachniałam, jeśli idzie o ścisłość. I zupełnie nie wiem, dlaczego tak strasznie przestało mi na sobie zależeć. Mam nadzieję, że przynajmniej nie śmierdziałam odrażająco. Mój szef, ujrawszy mnie, westchnął szczególnie ciężko, pokręcił głową z niedowierzaniem i dezaprobatą, delikatnie zasugerował spotkanie z wizazystką i zaproponował podwyżkę. Litość nie zna granic. Swoją drogą, to dobrze, że wyglądałam jak potwór z Loch Ness.

Julia jest szefową działu „Listy od czytelników”. W zasadzie to moja bezpośrednia przełożona. Kobieta z krwi i kości. Gdybym była facetem, zakochałabym się bez pamięci. Ale facet, gdyby był facetem, natychmiast chciałby ją posiąść. Halo? Posiąść. Zakochać mógłby się później.

Julia pomogła pozbierać mi listy, które rozsypały się w wyniku naszego zderzenia, a robiła to z takim wdziękiem, że aż mi serce zaczęło szybciej bić. Musiałam się przytrzymać za klatkę piersiową, gdy spod kusej spódnicy Julii wyłoniły się, przypadkiem oczywiście, przepiękne pończochy samonośnie, zakończone czarną, szeroką koronką. Pot mi się polał cienką strużką po plecach.

Prawda jest taka, że zawsze podejrzewałam u siebie ukryte skłonności do kobiet. Julia – doskonała w każdym calu – tylko mnie w tym upewniła. Jeny, chyba na nią lece!

Tak się na nią zapatrzyłam, że prawie zapomniałam zarówno o moim nosie, jak i o celu wizyty w redakcji.

Pozbierałyśmy papiery, bąknęłam jakieś marne „przepraszam” i wybiegłam stamtąd szybciej niż Superman. W domu natychmiast wskoczyłam pod lodowaty prysznic, musiałam bowiem ochłonać. Nawet wytrąbiona przeze mnie w wyjątkowo ekspresowym tempie, natychmiast po wyjściu z łazienki, spora butelka białego wina, nieopatrznie zostawiona przez moje przyjaciółki, mnie nie ostudziła. Wtedy dopiero się zaczęło. Te fantazje. Wyobraźnia nie obeszła się ze mną zbyt laskawie. Ja i Julia. I mój wielki nochal. I jej pończochy. Tia. I psychiatra. I pokój bez klamek. Ze ścianami obłożonymi

grubymi materacami. Może dziewczyny mają rację? I ja faktycznie potrzebuję faceta?

Minęły dwa tygodnie od zderzenia z Julią, notabene, kolejną kandydatką do zniechęcenia za posiadanie pięknego imienia. W tym czasie Wera z Kariną wydały na kosmetyki i ciuchy dla mnie całą forszę, którą udało mi się zarobić i zdebetowały mi konto. Stwierdziły, że czas najwyższy przestać być lady in black. Najpierw pognały ze mną do znajomej wizażystki, a na końcu przegoniły mnie po sklepach, których na szczęście były same wyprzedaje. Inaczej stać by mnie było najwyżej na pasek do spodni i okulary przeciwsłoneczne. Ja, w nowym, lepszym podobno wcieleniu, zmuszona obowiązkiem, zawiozłam kolejną porcję listów do czytelników.

W drzwiach, tradycyjnie już, najpierw spotkałam mojego szefa, a następnie wpadłam na Julię.

Szef nawet mi się nie uklonił i, prawdę mówiąc, całkowicie zignorował moje powitanie skierowane w jego kierunku.

No ładnie. Teraz to już pewnie mnie zwolni. Domyślałam się, że może przyszły na mnie skargi od jakichś niezadowolonych małolatów. Wzięłam trzy głębokie oddechy i pukam do drzwi szefa, postanowiwszy sprawę wyjaśnić.

– Dzień dobry – mówię cicho, acz stanowczo. – Ja w sprawie pracy.

– To już nieaktualne – odpowiada szef, prawie na mnie nie patrząc. O Boże! To już po mnie. Mógł mi chociaż powiedzieć, zadzwonić, a nie czekać, aż sama przyjdę.

– Panie redaktorze, ale ja chciałam wyjaśnić...

– Nieaktualne. Przyjeliśmy już kogoś na tę posadę. Spóźniła się pani. Przykro mi.

Szybcy są, nie ma co. Nie wyglądał tak, jakby mu było naprawdę przykro.

– Ta posada jest nieaktualna od miesiąca.

– Jak to od miesiąca? – zdziwiłam się szczerze, a mnie gniew

wspomagał. – Przecież ja pracuję od miesiąca, to jak mogliście kogoś zatrudnić?

W tym momencie naczelny podniósł na mnie wzrok znad sterty gazet i wbił we mnie oczy schowane za szklami o grubości spodków słoika od musztardy.

– To pani, pani Heleno? Zupełnie pani nie poznałem! Kiedy było pani ostatni raz tutaj, wyglądała pani... – i tu się ugryzł w język.

– Wyglądała pani...

Dałam mu chwilę, żeby się trochę nakombinował. A co. Poznęcam się odrobinę.

– Wyglądała pani... nieco inaczej – o jeny, cały się spocił.

– Koszmarnie. Wiem. Niech się pan czasami nie męczy i nie wysila na szukanie delikatnych określeń. Wiem, jak wyglądałam. To stres na mnie tak podziałał. Przeobraziłam się na krótki czas w Godzillę. Ale to już historia. To jak będzie z tym zwolnieniem?

– Kto się zwalnia? Kogo zwalniamy? – zamotał się lekko szef.

– Pan zwalnia mnie, tak?

– W żadnym wypadku. Mam dla pani kolejną paczkę z listami. Jest pani genialna. Pozwoliłem sobie trochę poczytać... Ten, tego...

– Ależ panie redaktorze! – udałam święte oburzenie.

– Rozumie pani. Musiałem nabrać pewności, czy się pani sprawdza w tej pracy.

– I? Nabrał pan?

– I proponuję pani umowę na czas nieokreślony i dodatkową premię. O, a tu są listy.

To się nie wydaje? Czy to dzieje się naprawdę? A może naczelny się czegoś najadł, upalił, napił? Powinnam mu to kazać własną krwią podpisać. Troszkę oszołomiona wyszłam z gabinetu naczelnego. Nagle zdałam sobie sprawę z tego, że ktoś mi się przygląda. Po prostu poczułam na sobie czyjś wzrok. Na swoim tyłku konkretnie. Najbardziej naturalnie jak umiałam, odwróciłam się i ujrzałam... Julię. Albo mam omamy, albo uśmiechnęła się do

mnie zalotnie. Kiedy się mijaliśmy, delikatnie musnęła moją dłoń.

* * *

Weronika z Kariną przyniosły ogromny worek z jedzeniem. Chińskim. Na stole poustawiały mnóstwo małych styropianowych miseczek i zażywały wina. Miałam i nie był to jabol za 3,50.

Wera podsunęła mi pod nos podejrzanie wyglądającą porcję czegoś tam i kazała jeść.

– Nie, dzięki, ale psów nie jadam.

– Daj spokój. Psy były w Warszawie na Stadionie. To po pierwsze. A po drugie nie u Chińczyka, tylko u Wietnamców.

– Nie widzę żadnej różnicy.

– Wera, a skąd ty wiesz, że to są psy?

– Psy, koty czy gołębie – bez znaczenia. Poza tym – zerknęłam w styropianowe pudełko – tam coś się rusza.

– Proszę cię, nie żartuj. Jestem tak głodna, że zjem nawet, jeśli się rzeczywiście rusza.

– Dobra, Troja. Dostyc tego. My tu przyszliśmy w ważnej sprawie. Podjęłaś już jakąś decyzję?

– Odnosnie czego? – wołałam się upewnić.

– Twojego małżeństwa, oczywiście. Rozwodzisz się, prawda?

– Nieprawda. Skąd te wnioski?

– Jak to? Teraz, kiedy masz pracę i odeszłaś z firmy, to jest najlepszy moment, żeby się go pozbyć.

– Ja nie wiem, czy chcę się go pozbywać...

– Troja, zastanów się, on cię ogranicza. Nareszcie możesz oddychać pełną piersią. Robisz to, co lubisz, stajesz się niezależna. Rozwijasz się. Czy ty nie widzisz, jak się ostatnio zmieniłaś? Odblokowałaś się.

– Tia. Boję się, żeby się nie zachłysnęła tym nadmiarem powietrza.

– Kochana, nic się nie bój. Jakby co, co szybka reanimacja,



usta-usta i postawimy cię na nogi. Żyj, oddychaj, należy ci się to. Teraz masz szansę i musisz ją wykorzystać. Młoda jesteś, ułożysz sobie życie. Mówię ci, Trojka, decyduj szybko, bo nie wiadomo, kiedy taka szansa znowu ci się trafi. Bądź trochę mniej niż ty, jaką znasz. Zrób trochę miejsca na taką siebie, jaką możesz być.

– A ty co? Widzenie miałaś? – przeraziłam się nie na żarty.

– Śmieję się, śmieję. Niedługo będziesz płakać.

– Miło wiedzieć, że mi dobrze życzyście.

– Nic nie rozumiesz. Właśnie dlatego, że ci dobrze życzymy, uważamy, że powinnaś od niego odejść. Dasz sobie radę. Najwyższy czas, żebyś zaczęła świecić własnym światłem. Jesteś jak ta zapomniana w rogu servantka.

– O rety, a dlaczego akurat servantka?

– Sama nie wiem, zawsze miałam sentyment do tego słowa. Tak, bo to właśnie to słowo mi się podoba. Zobaczysz, wystarczy cię tylko dobrze wypolerować i dawny blask wróci.

– O rany! Ty naprawdę miałaś widzenie. Jasność na ciebie spłynęła?

– Wielka szkoda, że nie na ciebie.

– Załóżmy, że macie rację. Nadal pozostaje jeden problem. Ja go kocham.

– Eee tam. Wydaje ci się. To wprawdzie ciężka choroba, może nawet przewlekła, ale przechodzi. Na kogoś innego.

– I musimy ci powiedzieć, że świetnie ci w tej fryzurze. To był dobry wybór.

– Niestety, nie mój. Fryzjer mnie zmusił.

– Dobrze zrobił. Podaj mi adres.

– Proszę bardzo, ale ja tam więcej nie pójdę.

– A dlaczego, jeśli można wiedzieć? Za dobrze cię ostrzygli?

– Nie. Podejrzewam, że chciał powiedzieć mi komplement, kiedy wychodziłam. I powiedział. „Wygląda pani jak Donatella Versace!”.

– Jezus Maria! – popluła się winem Weronika.

– Też tak pomyślałam.

- Czego chcecie od Versace? – Karina najwyraźniej była jej fanką.
- Tak ogólnie to nic konkretnego. Kiedy ją widziałaś ostatni raz?
- Dwa dni temu. Kupowała chleb i masło na rogu w sklepie – zakpiła z nas Karina.
- Nie denerwuj się. Po prostu ona jest strasznie... niemłoda już jest.
- To co, ale jaką ma figurę.
- Ja tam wolę mieć tę figurę, co mam, ale i lata swoje. Donatella Versace jest paszkwilna.
- Słuchaj, masz rację. Więcej do niego nie idź.
- Eee, a może pójdę? To młode dziecię jest, nie opanował jeszcze trudnej sztuki prawienia komplementów. Nauczy się z czasem.
- Z czasem. A ty wylądujesz na psychoterapii od tych jego porównań.
- Dajcie spokój. Zawsze mogło być gorzej.
- Gdzie wychodzimy dziś wieczorem?
- Zapomniałam, jak się ta knajpa nazywa. Ale wam wytłumaczę, kojarzy mi się z taką romantyczną nazwą...
- Riposta! – wrzasnęła radośnie Karina.
- Stuknięta jesteś? Romantyczna miała być. Riposta?
- To zależy, co kto lubi i co dla kogo jest romantyczne – obruszyła się Karina.
- Oczywiście. Dla Kariny bohaterem romantycznym nie jest Richard Gere wdrapujący się po schodach przeciwpożarowych, cierpiący na lęk wysokości, z bukietem kwiatów w zębach, do Julii Roberts, ale Al Capone z dymiącą spluwą w ręku. I co jej zrobisz? Ona tak ma i już.
- Fakt. To dlatego wyszłaś za policjanta. Wszystko jasne. Często przykuwa cię kajdankami do kaloryfera?
- Mówiłam wam, że jesteście...
- Świnie...? Albo inne hodowlane zwierzęta? Dzisiaj jeszcze nie. Daj spokój. Wyglupiamy się tylko.
- Ja też. Dałyście się nabrać.
- To o której?

– Osiemnasta. Przypomnij nam, żebyśmy ci opowiedziały o facecie dla ciebie. Znalazłyśmy.

Poszłam tylko z Weroniką, bo Karina w ostatniej chwili odwołała spotkanie.

Musiała zostać z Adamem, który miał traumatyczne przeżycia po ostatnich wydarzeniach w pracy i w żadnym razie nie mógł zostać sam. Bo, jak powiedziała Karina, gotów był zrobić coś głupiego.

– Zwolnili go? – dociekałam, słysząc w słuchawce przerażony głos mojej przyjaciółki.

– Gorzej. Znacznie gorzej. Wyobraź sobie, że Adam wszedł do szatni, po skończonej służbie, przebrać się. Patrzy, a tam stoi jego dwóch kumpli z wydziału i się migdali.

– Widzieli go?

– Nie. Chyba nie. Adam, mimo przerażenia, zachował zimną krew i refleks. Padł na podłogę koło szafki jak Chuck Norris i wyczołgał się z szatni...

– Głupia jesteś? Chuck natychmiast zmieniłby ich orientację. Ma moc! Słyszałaś, jak on oddaje krew? Przychodzi do punktu krwiodawstwa, odmawia użycia strzykawki, żąda natomiast pistoletu i wiadra. Sorry, nie mogłam się powstrzymać. Opowiadaj.

– Ciekawe jak oddaje mocz do analizy? – wtrąciłam.

– Jak wrócił do domu, to wyglądał, jakby zobaczył gołego Leppera w solarium. Mówię ci, Trojka, on nie może do siebie dojść.

– Ale kto? Chuck? – zażartowałam, chcąc ją troszkę rozbawić.

– Tak, oczywiście. Siedzi i dzwoni z domowego – Karina natychmiast połknęła bakcyła.

– A świstak siedzi i zawija te sreberka – kontynuowałam wariacje na temat.

– Co, geja nigdy nie widział? A może on nie toleruje „kochających inaczej”? Przecież gej też człowiek.

– No popatrz, a nasz nowy minister edukacji myśli inaczej.

– O Jezu, to on istnieje naprawdę? A myślałam, że tylko ja mam te koszmary.

- Ja wciąż mam nadzieję, że to tylko zbiorowa halucynacja, ale opowiadaj dalej.
- No i ja teraz się martwię, bo on wcale się nie odzywa. Ani słowem. Opowiedział tylko, co zobaczył, i milczy jak zakłęty. Nie je. Nawet piwa nie chciał. Chory jakiś, czy co? I tylko w kółko coś mamrocze pod nosem.
- Wiesz, co mamrotał? Słyszałaś?
- Tak. Zakradłam się za jego fotel. Mamrocze: „Kurwa, ja już się nigdy po nic nie schylę”.
- O rany! Nie jest dobrze. Ale przejdzie mu. Szok minie.
- Tak myślisz? Ale on jutro musi iść do pracy.
- Niech weźmie dzień dla matki z dzieckiem.
- Rety, dzięki, ty masz głowę na karku – ucieszyła się.
- Ale ty nie masz dzieci, a adopcji nie załatwisz w 24 godziny
- przypomniałam Karinie i rozłączyłam się.

Weronika walnęła prosto z mostu, nie czekając nawet, jak kelnerka przyniesie kawę.

- Słuchaj. Ten facet jest po czterdziestce. To kolega mojego Tomka. Robią razem interesy. I żona od niego odeszła niedawno. A konkretnie rzecz biorąc, puściła go w trąbę, zabierając po drodze interes na Białorusi, przystojnego Białorusina i sporo forsy.
- Nawet tak nie żartuj. Nie myślisz chyba, że mam go pocieszać? Poza tym, wy z Kariną wciąż zapominacie, że ja mam męża. Demencję starczą macie, czy co?
- Ale to fajny facet jest. Może nieszczególnie urodziwy, wiesz, typ Gerarda Depardieu.
- O Boże!
- Poza tym całkiem fajny. Dobrze się ubiera, ładnie pachnie, dba o siebie, chodzi na siłownię, ma ładny dom...
- Weronika! – wrzasnęłam na moją przyjaciółkę, przywołując ją do porządku.
- I ma jeszcze wiele innych zalet. Uważaj: Tomek był z nim na kolacji. Zresztą ja też tam byłam, stąd wiem o owych zaletach.

Odkąd odeszła od niego Malgosia, on ciągle czegoś szuka. Próbuje chyba udowodnić sobie i wszystkim wkoło, że on też może sobie ułożyć życie. I sobie układa. Polega to na tym, że namiętnie umawia się z kobietami. Kiedy jedliśmy, tak mniej więcej przy przystawce, przyszedł do niego SMS. Wczytał się, zarechotał, podetknął mi pod nos ekran telefonu i powiedział: „He he he. Przeczytaj!”. Przeczytałam i prawie wpadłam pod stół. Wiesz, co tam było napisane?

– Jeszcze nie wiem, czy chcę wiedzieć.

– „Masz najpiękniejszego ptaka na świecie. Jest taki duży”. Wiesz, deseru nie zjadłam z tego wszystkiego. A dzisiaj, jak widzę jakąś ptaszynę, to mi się kojarzy...

– Natychmiast przestań! I ty chcesz mnie umawiać z takim troglodytą?

– Mogłabyś się trochę rozerwać.

– Wera, a dlaczego ty sama na niego nie polecisz?

– Ja się nie rozwodzę.

– Ja też nie.

– Tak, ale ty powinnaś.

– W zasadzie każda z nas powinna. Całe życie nie robimy rzeczy, które powinniśmy robić. Więc się odwal. Poza tym, ja nie jestem pewna, czy faceci mnie jeszcze interesują – zakończyłam, oblekając twarz uśmiechem Mony Lizy.

– Opowiadaj – Weronika była inteligentnym stworzonkiem.

No to jej opowiedziałam o Julii. Założę się, że po wyjściu z knajpy pojechała do Kariny, niańczącej męża po tragicznych przeżyciach.

* * *

Julia... Jasna cholera. Ledwo co zdążyłam się rozmarzyć, gdy rozdzwonił się telefon. Zanim go zlokalizowałam, przestał dzwonić. Ale ja go znam. Jak tylko się odwrócę, zacznie znowu. Oczywiście.



– Słucham – zachrypiałam w słuchawkę, bo mi w przerywku utkwił popcorn.

– Dzień dobry – zadzwęczała „Czterema porami roku” Vivaldiego, wiosną konkretnie. Julia.

– Dzień dobry – odetkałam się już. Czy coś się stało, pani Julio? (w końcu to moja przełożona).

– Obawiam się, że tak. I musimy to omówić. Jak najszybciej.

Miałam dziwne przeczucie, że nie ma to zabarwienia służbowego. I że tak naprawdę do momentu tego telefonu nie stało się nic. Stanie się dopiero niedługo. O rety! Jestem lesbijką???

Ona była zakonnicą. Była mniszką kamedulką. Spędziła osiem lat w pobernardyńskim klasztorze w Złoczewie. Jak wyczytałam w Internecie, kamedulki kładą szczególny nacisk na samotność i milczenie.

„Milczenie bez rozmyślenia to jak pogrzebanie żywego; rozmyślenie bez milczenia jest nieskuteczne, jak budzenie umarłego; ale rozmyślenie duchowo związane z milczeniem daje duszy wielki pożytek i prowadzi do doskonałej kontemplacji”.

Powiedziała mi to, gdy stałyśmy w kolejce po bilety. A następnie wsunęła mi rękę w spódnicę, z tyłu, tam gdzie plecy kończą swą szlachetną nazwę.

Opowiedziała mi także o tym, jak dostała zaproszenie do programu „Rozmowy w toku”, ale odmówiła udziału. Miało być o zakonnicach, które zrzuciły habity. Ciekawe, co by na to powiedział Adam. Obawiam się, że jego delikatna psychika policjanta mogłaby tego nie wytrzymać. Osiem lat w klasztorze o najwyższym rygorze. Nawet im nie wolno było się do siebie odzywać. O rany! Nio. W końcu nie musiały. Przecież nie trzeba nic mówić, żeby się zrozumieć.

Pewnego pięknego dnia zrzuciły habity. Romana i Julia. Siostra Romana i siostra Julia. Prawie jak Romeo i Julia. Niestety, Romeo okazał się niewierny i Julia została sama. Ale nie rozpaczwała długo, albowiem odkryła przyjemności tego życia. Romana wyszła

za mąż w Holandii (tam śluby homoseksualne są dozwolone) za jakąś hodującą tulipany Holenderkę, a Julia wciąż szuka. I znalazła mnie. Aktualnie na nią czekam. Mamy iść do kina. Dokładnie to nie wiem, na jaki film. Prawdopodobnie nie jest to istotne. Trochę boję się tego kina. A jeśli zechce potrzymać mnie za rękę? Albo, co gorsza, wsunie mi rękę między uda? Nienormalna jestem. Już zapomniałam, jak się flirtuje. Julia była przezabawna, jak na ekszakonnicę, nad wyraz powściągliwa jak na lesbijkę oraz absolutnie w porządku jak na szefową. Romanse w pracy nie są podobno mile widziane. Chwilowo się tym nie przejmuję, ponieważ ja nie romansuję, lecz tylko flirtuję. Czy to jest bezpieczne? Gdzieś czytałam, że nie ma nic gorszego niż romans z własnym szefem. Okazuje się, że jest. Romans z szefową.

Julia, jak przystało na szarmanckiego mężczyznę, odwiozła mnie do domu. Po mniej więcej godzinie dostałam od niej wiadomość. O dziwo miałam pole. Zasięg. Krótki esemesik: „Kochanie, sprawdź pocztę”. Odpisałam: „Sprawdzę, jak mnie tylko uwolnią. Siedzę w windzie i udaję, że nie mam klaustrofobii”.

W domu otworzyłam Outlooka i zamarłam:

Dzisiaj odwiedziło mnie słońce. Czarne. Nigdy dotąd nie przypuszczałam, że słońce może być czarne i mieć, najmarniej licząc, miseczkę E. Weszła śpiewnym krokiem. Zakotłowała duszę. Piersi nabrzmięły oczekiwaniem. Kobieta doświadczona ciężarem dojrzałych jabłek. Gałęzie już się pochylają do zenitu miłości. Otepiałe z wysiłku wagony przetaczają się za spracowaną lokomotywą. Jeszcze jeden ruch. Może warto. Chyba wiesz, o kim to? Czarne słońce jest gorące i bliskie eksplozji. Wisi teraz cały czas przy lampie, u sufitu. Wciska się, skubane, w każdy kąt i nie daje o sobie zapomnieć ani na moment. Rozgrzało mnie i tchnęło pokłady optymizmu i wiary w ludzi i sens przetaczania wagonów pod górę. Słońce, bądź zawsze czarne i gorące! Grzeje się przy Tobie!

Oszalała? Ja ją rozgrzałam? Czym? Tymi lodowatymi dłońmi? Ze strachu dostałam gęsiej skórki i dreszczy. W dodatku spociłam się jak mysz. Zaczęłam się jąkać, kiedy otoczyła mnie ramieniem. Z tego przerażenia przyssałam się do słomki i wypilałam pół litra coca-coli duszkiem, dostając, natychmiast po odessaniu się od słomki, czkawki. Siorbałam, gdy kończyła się cola w kubku. Czkałam przez całe reklamy, czyli jakieś piętnaście minut.

Sosem musztardowo-pomidorowym z hot-doga poplamiłam Julii sukienkę. Trysnęłam na nią z siłą wodospadu. Niagara. Tym sosem. Julia, lekko robiąc unik, zatoczyła się na niosącego górę popcornu faceta, facet zatoczył się na dziewczynę z kubkiem coca-coli, dziewczyna zatoczyła się na ścianę, a ściana nie zatoczyła się wprawdzie nigdzie, ale za to pokryła się plamami krwi z nosa Juli pomieszanej z coca-colą, a na nas spadł śnieg z popcornu. Szefowa, gdy już ją bileter zdjął ze ściany, powtarzała, że nic jej nie jest. A kiedy przed blokiem upadły mi klucze, ona schyliła się, by je podnieść. Obie się schyliłyśmy, jednocześnie. I uniosłyśmy jednocześnie głowy, znad tych kluczy. I stało się. Walnęłam ją z bańki. Niechcący, oczywiście. Kiedy zatamowałyśmy krwotok, wcale nie taki duży, pożegnałyśmy się. I myślałam, że nic mnie gorszego spotkać już tego dnia nie może. Pomyliłam się. Zatrzasnęłam się w windzie. Uwolnił mnie cieć po godzinie. Czym zatem ją oczarowałam?

O ile się nie mylę, to jest list miłosny. Pierwszy w moim życiu list miłosny od kobiety. Wprawdzie brzmi trochę jak Kofta, ale co tam. To chyba jest Kofta.

Postanowiłam sprawdzić, jak miewa się niemy świadek gejowskich ekscesów.

I zadzwoniłam do Kariny.

– Cześć, Adasiu, jak się czujesz?

– Hej, Troja. Czy już cały świat wie, że nakryłem dwóch gejów na obściskiwaniu się w szatni?

– Cały to raczej nie. Ale nasz babski Trójkąt Bermudzki wie. Ochłonąłeś już?



- Prawie. Jeszcze dwie setuchy i dojdę do siebie. Pewnie chciałabyś rozmawiać z Kariną?
- Nie ma jej?
- Jest, ale kazała mi powiedzieć, że jej nie ma. Leży owinięta folią spożywczą pod dwoma kocami, na twarzy ma błoto i słucha muzyczki relaksacyjnej. Tak między nami mówiąc, wygląda jak spleśniały serdelek.
- Nie mów tak. Ona to robi dla ciebie.
- Co ty powiesz? I dla mnie też wydaje całą moją marną policyjną pensję?
- Marną, powiedziałeś, więc nie wydaje dużo. A poza tym, powinieneś się cieszyć, że boki z łapówek masz dla siebie.
- Troja! – wydarł mi się do ucha Adam, najwyraźniej jeszcze nie w formie.
- Oj, kochany! Poczucie humoru masz w zaniku. Zrelaksuj się, odpręż. Posłuchaj Eltona Johna...
- O, teraz to już przegięłaś.
- O co ci... – zaczęłam i nie skończyłam.
- Adam nie czekał, aż rozwinę myśl. Odłożył słuchawkę.

I co ja mam robić? Rozwieść się albo nie rozwieść? Oto jest pytanie. Im dłużej się nad tym zastanawiam, tym mniej wiem. Julia jest zdeklarowaną, aktywną lesbijką. Faceci mnie nie interesują, nawet ci z wielkimi ptakami. Jestem kobietą bez orgazmów, ale za to z wadą w budowie, prawdopodobnie nie posiadam lechtaczki, a nawet jeśli, to nie w tym miejscu co należy. Powinnam poddać się operacji przesunięcia wspomnianej lechtaczki. Jestem bizneswoman, której ktoś podciął skrzydła.

Frida Kahlo, gdy amputowano jej palce u stóp, napisała: „Po cóż mi stopy, skoro mam skrzydła?”. Nie jestem matką, żoną ani kochanką.

Jestem kobietą w średnim wieku, która sama nie wie, czego chce. A co gorsza, nie wie, czego nie chce. Wymądrzam się w tych listach wszechwiedzącej pani redaktor, a sama nie znam recepty na

dobry związek.

* * *

Julia mnie kocha. Wyznała mi to kilka dni po tym, jak rozbiłam jej głową nos. Najwyraźniej musiało jej to zaszkodzić. Wyznała mi miłość i... wyjechała. By zastanowić się nad swoimi emocjami. Całe szczęście, że nie oczekiwała tego zastanawiania się ode mnie. Chociaż dziewczyny uważają, że powinnam pozwolić ponieść się uczuciom.

Problem w tym, że ja tak naprawdę niewiele czuję. Nie Kocham jej, tego jestem pewna. Poza tym, mam permanentną awersję do seksu oralnego. Moja lechtaczka jest zimna jak Spitzbergen, a ja jestem tak gorąca jak Królowa Śniegu.

Widok faceta drobiącego jak gejsza w damskim natrysku, trzymającego oburącz swoje cenne w jego mniemaniu klejnoty, jest mnie w stanie jedynie rozbawić, nie zaś zainteresować. No, może wtedy, gdyby drobił jak gejsza sam Robert De Niro albo, żeby było patriotycznie, Andrzej Piasek Piaseczny.

Tak czy siak faceci są obleśni. Pan Bóg musiał być przemęczony, stwarzając mężczyznę. Faceci są obleśni, ale Daniel nie jest. On jest piękny jak Apollo i nawet nie jest gejem. Nie jest gejem, a mimo to rozpoznaje rodzaj perfum, którymi pachnę, wie, która torebka jest od Prady, a buty od Gino Rossi. Nie poci się i codziennie zmienia skarpetki. A w zasadzie wcale ich nie nosi. I najważniejsza sprawa – Daniel mnie uwielbia. Tak żywiołowo i bezgranicznie. On po prostu uwielbia mnie uwielbiać. Ja na to łaskawie pozwalam, zwłaszcza po tym, jak mój mąż się wyprowadził.

Daniel jest malarzem. Artystą znaczy. Biega po mieście z rozwianym włosiem, torbą z farbami, pędzlami i nie wiem, czym jeszcze. Przesiaduje wieczorami w zadymionych pubach, w dzień „łapie światło” dla swoich „dział”. Ma sokoli wzrok i słuch nietoperza. Nawet z urody go trochę przypomina, ale jest ładniejszy. No i nie sypia

zawieszony głową w dół. Chyba. Bo pewności nie mam.
A teraz od początku.

Z uwagi na mój niezwykle dar zawierania znajomości w dość oryginalnych okolicznościach, zbliżonych do usiłowania pozbawienia życia poznawanych osób (patrz Julia), Daniela poznałam uprzednio przejechawszy go samochodem.

Facet wtargnął niespodziewanie na jezdnię i bezczelnie rozbił mi prawy reflektor. Wpadł na maskę, lekko ją wgniatając, zaś na szybie pojawiła się cała paleta kolorów. Odruchowo włączyłam wycieraczki, a to, co w wyniku tego powstało, dowiodło, że Pablo Picasso to amator w porównaniu z dziełem, który stworzyłam.

Daniel spadł z maski, gdy gwałtownie zahamowałam, przeturlał się kilka metrów, by następnie wstać i otrzepać się z zamiarem pójścia sobie.

Patrzyłam z lekkim osłupieniem, jak niedoszły nieboszczyk czyści starannie ubranie, zbiera porozrzucane wszędzie tubki z farbami, pędzle, kartony.

Jak słusznie podejrzewałam, zabierał się do ucieczki. A kto mi zapłaci za reflektor?

Kosztuje całe 15 złotych. Plus maska, jakieś 60. Skąd mam na to brać?

– Hej! A dokąd to? – rozdarłam się, starając się, by mój głos zabrzmiał odpowiednio groźnie.

– Do domu. A konkretnie do dużego pokoju – odpowiedział nieboszczyk dość niewyraźnie i... zemdlął.

Nie podejrzewałam, że mogłam mu coś poważnego zrobić, krzywdę jakąś czy coś, moim rumakiem marki Fiat 126, jadąc z zawrotną prędkością 30 km/h.

Zataszczyłam Apolla do samochodu, usadziłam na siedzeniu pasażera i pomknęłam na pogotowie. Wyskoczyłam przed izbą przyjęć i z krzykiem zasłyszonym na filmach wbiegłam do szpitala.

– Szybko, lekarza! Mam rannego w samochodzie.

Ranny w efekcie nie okazał się ranny, jedynie zemdłony w wyniku szoku. Obrażeń wewnętrznych brak. Zewnętrznych także.

Szok był skutkiem przejechania go przeze mnie. Przejechanie było efektem roztargnienia przejechanego i wbiegnięcia na jezdnię w miejscu niedozwolonym.

Dobrze, że mknęłam swym rączym rumakiem w tempie żółwia, bo inaczej facet raczej by nie wstał, a ja zostałabym z dziełem Picassa na przedniej szybie, rozbitym reflektorem, wgniecioną maską oraz gigantycznym poczuciem winy.

Podczas pobytu na izbie przyjęć przypomniła mi się zabawna historia, ludząco podobna do tej, która mi się przytrafiła. Na samo jej wspomnienie dostałam niepohamowanego ataku śmiechu. Mojego wuja przejechał tramwaj. W tym samym czasie, zaniepokojona przedłużającą się nieobecnością wuja ciotka wyglądała przez okno i z wysokości ósmego piętra zauważyła na ulicy zbiegowisko, karetkę, straż pożarną, policję. A że wścibska z ciotki osóbką, zbiegła chyżo i wtopiła się w tłum gapiów.

Kiedy dźwig podniósł wagon, pod którym znajdował się nieszczęśnik, oczom ciotki ukazał się leżący jak nieżywy wujek. Słabe serce miała ciotka i zemdląła. Nie mogła więc widzieć cudownego zmartwychwstania. Wujko powstał, otrzepał się i zamierzał odtrącić odwrót. Tu czujna policja wkroczyła do akcji. Lekarze z pogotowia reanimowali motorniczego, który dostał zawału, a gapie cucili ciotkę.

Wszyscy spodziewali się zobaczyć szczątki człowieka, a tu, ku lekkiemu rozczarowaniu, wujko był w jednym kawałku, a do tego całkowicie żywy.

Gdy wujko się podniósł – tłum zafalował i zajęczał. Gdy byłam przy końcu przypominania sobie owej historyjki, najwyraźniej ujawnił się u mnie utajony szok, bo dostałam ataku śmiechu.

Z gabinetu lekarskiego wyszła pielęgniarzka i zaaplikowała mi zastrzyk uspokajający. Po chwili wyszedł Daniel i wyglądał całkiem dobrze. Mimo to postanowiłam go odwiedzić do domu.

Po drodze zakupiliśmy dwie butelki lekarstwa na nerwy, w postaci białego, półwytrawnego wina oraz zmieniliśmy zdanie.

Zaprosiłam Daniela do siebie. A co mi tam! Mąż się wyprowadził, to hulaj dusza, piekła nie ma. Wtedy właśnie dowiedziałam się, że przejechany przeze mnie facet ma jakieś imię.

Oraz zauważyłam, tak już na spokojnie mu się przyglądając z perspektywy kanapy, że jest szalenie przystojny. Po dwóch lampkach wina, wychylonych jednym duszkiem, poznałam kilka dodatkowych cech, które całkowicie przemawiały za tym, że przejechanie go na śmierć byłoby niewybaczalnym błędem. Po wypiciu całej butelki wina, znaleźliśmy wspólną płaszczyznę do rozmowy. Gdy ujrzelśmy dno drugiej butelki, przeszliśmy z mowy werbalnej na niewerbalną. Języka niewerbalnego używaliśmy bardzo intensywnie, przy czym Daniel lekko pojękiwał, a ja nie wiedziałam, czy z powodu nabicia sobie kilku siniaków, czy też nie...

Podsumujmy zyski i straty:

Straty:

- jeden rozbity reflektor
- wgnieciona maska
- zszarpane nerwy

Zyski:

- obraz Picassa na przedniej szybie
- pierwszy od lat ORGAZM

Wprawdzie Daniel ma klatę jak pierś rosołową, ale przecież to się nie liczy. Trochę ćwiczeń na siłowni i od razu mu się biceps Pudziana wyrobi.

Eee, po chwili zastanowienia stwierdzam, że musiałby ćwiczyć przez jakieś 15 lat, może po tym czasie powstał Pudzian w wersji dla ubogich.

W sumie, tak po prawdzie, jego mięśnie, akurat te, nie są mi tak

bardzo potrzebne. Potrafi podnieść sztalugę, to i z butelką wina da sobie radę. Powinien. Chociaż artyści jacyś tacy słabowici.

Niespodziewanie naszedł mnie nazajutrz. Ale najpierw zadzwonił.

– Skarbie mój, rybko złota, pierniczku toruński (dlaczego toruński?) – zaczął w słuchawkę Daniel. – Czy już mówiłem, że cię kocham? Szykuj się. Zabieram cię w plener. Będę cię malował – dodał z namaszczeniem.

– Przecież nie malujesz portretów – zauważyłam.

– Nie. Ale dla ciebie zrobię wyjątek. Maluję tylko wyjątkowe osoby. A ty jesteś przecież wyjątkowa. Będę miał po tobie pamiątkę.

– Pamiątkę? Po mnie? Ja się nigdzie nie wybieram. A może ty chcesz mi coś powiedzieć? Zamieniasz mnie na nowszy model? – udałam, że się boję.

– Ależ perelko, cóż ty mówisz za głupotki? Jesteś słoneczkiem mojego życia! Dzięki tobie znowu zacząłem malować! Będę za dziesięć minuczek – skonkretyzował swoje plany i moje przy okazji też. – Zrób się na bóstewko!

– Daniel, ale ja nie mogę. Mam dziś zajęcia na uczelni. Sobota dzisiaj jest.

– Oj, skarbeńku, kruszynko moja! Uczelnia nie zajęc, nie ucieknie. A światelko tak. No to pa! – i odłożył słuchawkę.

Powinnam powiedzieć: słuchaweczkę.

Pa. I ja mam zrobić się na bóstwo w dziesięć minut. Dobrze sobie. W dziesięć minut nawet nie dotrę do łazienki. Ciekawe, co powie profesor od mikroekonomii, doradca prezydenta do spraw finansowych, jeśli mu powiem, że nie przyszedłam na wykład, gdyż pozowałam pewnemu malarzowi. Nago.

Kolejne wejście smoka przeżyłam w niedzielę o szóstej rano. W judaszu zobaczyłam najwyraźniej pobudzonego artystę z zielskiem w ręku.

– Słońce mojego życia, czy wiesz, jak cię kocham? – zaczął

i wpakował się do przedpokoju, mimo że wsadziłam nogę między drzwi.

– Ubieraj się. Natychmiast wychodzimy – zakomenderował i najwyraźniej miał w nosie moje zdanie.

– Kwiaty dla ciebie – obwieścił uroczyście, padając na kolana, a ja w tym czasie otwierałam usta jak ryba, usiłując dojść do głosu.

– Piękne kwiaty dla pięknej kobiety! – potok słów zalewał mnie od stóp do głów.

O Jezu! To jak ja muszę wyglądać??? Po pierwsze, w najbardziej pijanym widzie nie nazwałabym tego czegoś kwiatami. To nadużycie. Po drugie, zadrżałam na myśl, że Daniel zacznie się oświadczać, bo wtedy musiałabym być bardzo niemila.

Wprawdzie sypiam z nim, ponieważ moja lechtaczka znalazła z nim wspólny język (sic!). Ale żeby tak od razu wychodzić za faceta, który ma ci do zaoferowania jedynie orgazm? Nawet jeśli jest to orgazm kosmiczny? Eh, to za mało. Mimo wszystko.

Może i zachłysnęłam się seksem, ale nie straciłam rozumu.

– Wstań, Daniel. Dziękuję za to coś, cokolwiek to jest. Niestety, nie mogę nigdzie z tobą pójść.

– Nie kochasz mnie!!! – zajęczał, bardzo teatralnie, trzeba mu przyznać, Daniel.

Oczywiście, że nie – pomyślałam.

– To nie ma nic do rzeczy. Czasami muszę jednak trochę popracować, żeby zarobić na chleb oraz na kilka drobnych przyjemności.

– Ależ kochanie! Czyż ja nie jestem dla ciebie wystarczającą przyjemnością? I w dodatku całkiem gratis? – powiedział i najwyraźniej się rozmarzył o samym sobie.

O mamó kochana! On ma ego jak Wielki Kanion.

– Możesz mnie użytkować aż do wyczerpania energii.

Jasne – strzelisz sobie w żyłę albo wypalisz skręta i już będziesz naładowany na nowo.

– Dziękuję. Doceniam twoją ofiarę. Ale teraz naprawdę już powinienes pójść.

– Gwiazdeczko moja, to ja wiem, co zrobimy! Ja sobie tu cichutko przycupnę i będę patrzył, jak się uczysz i pracujesz. Dobrze?

– Niedobrze – robiłam się nerwowa i wracała mi drzemiąca dotąd asertywność. – Masz wolną chwilkę? – zapytałam zjadliwie.

– Dla ciebie zawsze, kochanie – Daniel nie wyczuł podstępu.

– To obejdz drzwi z tamtej strony – odpowiedziałam tekstem z popularnego skeczu i wypchnęłam Daniela na korytarz. Zabarykadowałam drzwi szafką na buty, wyłączyłam wszystkie telefony oraz dzwonek przy drzwiach.

Ufff. Bycie z artystą bywa bardzo męczące. Daniel ma taką osobowość, że chce nią wypełniać całe życie – swoje i moje. A że najwyraźniej w swoim już się nie mieści, za wszelką cenę chce sobą wypełnić mnie.

* * *

– No, kochana, to teraz poznasz smak życia. Taki porządny orgazm to fajna sprawa – wydzierała się Wera na cały regulator.

– Cudownie. Jutro wszyscy sąsiedzi będą mnie wytykać palcami.

– Nie pochlebiaj sobie. Czy opowiadałam wam już, jak moja sąsiadka zabawiała się z mężem gadżetami z sex-shopu? Tak się składa, że mam doskonały widok na ich mieszkanie, a oni nie mają zasłon.

– Ekshibicjoniści?

– Tak jakby. Widok świetny, genialny. Dlatego też mogłam widzieć, jak testują nowy wibrator. Na początku nieźle sąsiadowi nawet szło, do momentu, gdy mu zaczęły wysiadać baterie. Wiesz, Trojka, są takie wibratory z kilkoma biegami...

– Nie wiem – odwarknęłam.

– A to już nie moja wina. Kupić ci taki? W każdym razie obserwowałam ich przez lornetkę, całkiem niezła jak na bazarową. Sąsiad wojuje z pomocnikiem, sąsiadka, rozumiecie, gdzieś w niebycie, a tu baterie wysiadają. Prawdziwa tragedia, no przecież nie powie w takim momencie ukochanej kobiecie...

- Z wibratorem między nogami...
- „...kochanie, zaczekaj chwileczkę, skoczę po nowe baterie”.
- Zdecydowanie nie powinien, jeśli chciał przeżyć.
- On też miał tego świadomość, skoro ustawił wibrator na najslabszy bieg i dyskretnie, szybko i pobiegł na paluszkach do kuchni po zasilanie.
- Pieprzysz.
- Ja nie, ale wiecie... Jak wrócił z tymi bateriami, to je szybko, niepostrzeżenie, bezkolizyjnie wymienił. Sąsiadka ciągle w niebycie i zakończenie z happy endem. Tak więc sama widzisz, że zwykłym orgazmem to ty sąsiadom raczej nie zaimponujesz.
- No raczej, fakt. Od razu mi lepiej.
- Trojka, zlituj się i opowiedz, jaki on jest.
- Nic z tego. Opowiedzieć się nie da. Krótko: jest szalony. Zwariowany. Nieobliczalny. Ciągle porywa mnie w jakieś plenery, na wernisaże. Najpierw mnie portretuje, a potem się kochamy. Albo odwrotnie. Wypijamy ogromne ilości wina, rozmawiamy niewerbalnie. Szczerze mówiąc, ja nie wiem, kiedy on sypia. Po wyjściu ode mnie biegnie „łapać światło”, a wieczorami przesiaduje w pubach z ludźmi „ze środowiska”. A na drugi dzień jest rzeński jak skowronek. W ogóle nie widać, że prawie nie sypia. Zupełnie nie wiem, jak on to robi.
- Ale ja wiem – odezwała się Karina. – Jedzie na amfie.
- Oszalałaś. Daniel? No coś ty, to niemożliwe – oburzyłam się święcie.
- Niemożliwa to jesteś ty, że się dałaś w to wszystko wplątać. Nie poznaję cię.
- Odczep się. Same kazaliście mi szukać. Robić miejsce. Że niby jestem jak ta serwantka zakurzona w rogu... I co? Wiecie, on nie ma samochodu, bo go to podobno ogranicza. Nie przykłada wagi do rzeczy materialnych. Pożywienie jest mu prawie niepotrzebne. Je tyle, by przeżyć. Żyje winem, miłością i sztuką.
- No i amfetaminą – dorzuciła Weronika.

- Udam, że tego nie słyszę. To bardzo mądry facet. Tyle ciekawych rzeczy opowiada o malarstwie, zwłaszcza o kubizmie, bo go to fascynuje. Jego idolem jest Picasso. Nie wiem, czy wiecie, moje kochane, ale kubizm to kierunek w malarstwie, zapoczątkowany w XX we Francji przez Picassa właśnie i Breugela. Składają się na niego trzy fazy: okres prekubistyczny (1905-1909), kubizm analityczny (1909-1912) – odrzucenie reguł perspektywy i rozbitcie przedmiotu na elementy zgeometryzowane, oraz kubizm syntetyczny (od 1912 r.) – synteza przedmiotu przez swobodne zestawienie różnych elementów (m.in. kolaż) w maksymalnie zgeometryzowany rysunek.
- W malarstwie i rzeźbie. Troja, uspokój się i przestań cytować encyklopedię.
- To nie encyklopedia. To Daniel.
- Mała Encyklopedia PWN, wydanie z 1995 roku. Wiem, bo uczyłam się z niej do „Milionerów”.
- Eh, co ty tam wiesz. On mnie widzi w trójwymiarze!!!
- Tak ci powiedział? Na trzeźwo?
- Trzeźwiutko!
- W takim razie to coś więcej niż amfa. Pewnie też pali trawkę. To halucynacje. Trojka, to nie jest facet dla ciebie.
- Wiem przecież – nagle spowaźniałam i przestałam żartować.
- Ale czy to ważne? Liczy się tylko to, co jest tu i teraz. Przez 15 lat mojego małżeństwa martwiłam się tym, co będzie jutro. Niepotrzebnie. Trzeba cieszyć się dniem dzisiejszym. Sama przecież powiedziałaś: „Bądź trochę mniej niż ty, którą znasz i zrób trochę miejsca na taką siebie, jaką możesz być”.
- I w związku z tym chcesz nam powiedzieć, że nagle odkryłaś, przestając się rozpychać w sobie, że twoim życiowym powołaniem jest bycie muzą stukniętego malarza?
- Niestety, nie wiem jeszcze, co jest moim życiowym powołaniem. Do niedawna sądziłam, że jest nim praca w handlu. Myślałam także, że zestarzeję się u boku mojego męża. Tymczasem on postanowił

zestarzyć się u boku 20-letniej blondynki z półtorametrowymi nogami i rozumkiem wielkości laskowego orzeszka.

– Zestarzyć się? Chyba raczej on chciał się odmłodzić?

– Odmłodzić czy zestarzeć? Co za różnica? Poszedł w cholere z tą lafiryndą i to jest istotne. A ona wycisnie z niego wszystkie soki, wyczyści konto i pójdzie w siną dal, zastawiając wnyki na kolejnego frajera.

– Troja, tobie to wino już na mózg się rzuciło. Jak można wyczyścić konto twojemu mężowi? On nikomu nie pozwala czyścić konta, nawet samemu sobie. Zapomniałaś, co ci zrobił? Zabrał samochód i zostawił ci tego kaszlaka.

– I Bogu dzięki, bo inaczej z Daniela zostałyby mokra plama – trafnie zauważyłam.

– Ale za to mogłabyś się szybciej przemieszczać – nie dawała za wygraną Karina.

– Daj spokój – wtrąciła się Wera. – Przecież ona się nigdzie nie przemieszcza. Raz w tygodniu do redakcji, a tak non stop chodzi nawalona tym winem.

– Sorry, dziewczyny. Muszę już iść. Mam sporo pracy, a jeszcze do zgłębienia tajniki kształtowania się rynku w warunkach konkurencji doskonałej oraz w warunkach monopolu.

* * *

Jak niesie plotka towarzyska, mój mąż oszalał. Biega na siłownię, basen (przecież on nie umie pływać), uprawia jogging oraz usunął sobie zmarszczki za pomocą botoksu. Lafirynda panoszy się po mojej, było nie było, firmie, pokazując cycki i tyłek. Sprzedaż podobno bardzo wzrosła. To dobrze. Przy podziale majątku oraz wniosku o alimenty to akurat może mi pomóc. Złożyłam pozew o rozwód.

Powiedziałam mu, że nie zniszczę go doszczętnie, jeśli wypłaci mi dwa tysiące alimentów co miesiąc. Przymknę oko na

jego lewe interesy oraz jeśli zajdzie taka potrzeba, w odpowiednim momencie przed odpowiednimi urzędnikami dopadnie mnie ciężka amnezja. A jeśli stwierdzę, że nie jest ostatnią świnią, zapomnę także o istnieniu takich instytucji jak urząd skarbowy i urząd celny. Blefowałam oczywiście, ale on profilaktycznie się przestraszył.

Lolotka ma 21 lat, na imię jej Mieczysława, a pochodzi z miejscowości Pcim Dolny. Dwie godziny szukałyśmy z dziewczynami w atlasie samochodowym Polski i nie znalazłyśmy. Mniej więcej wygląda jak Jagna z „Chłopów”, tylko nogi ma zdecydowanie dłuższe. Taka sama buraczana cera, włosy w kolorze zboża i wielki cyc. Prawdziwy, niestety. Jeśli zaś idzie o inteligencję, to Miecia jej mianowicie nie posiada. Odpowiada monosylabami, niepytana, prawie się nie odzywa. Niezmiernie mnie interesowało, gdzież to mój mąż spotkał owe dziewczę.

Sprawa się wyjaśniła. Jechał, biedaczek, w sprawach biznesowych do Bydgoszczy i mu pasek klinowy pękł. Szczęśliwym trafem na poboczu stała Jagna, Mieczysława znaczy się, i udzieliła pomocy, zdejmując z tyłka rajstopki. Rajstopki posłużyły za pasek klinowy i wystarczyły, by mój mąż dojechał do najbliższego zakładu naprawy samochodów. Tak się wzruszył gestem Mieczysławy mój mąż, iż zapragnął pokazać biednej, pokrzywdzonej przez los dziewczęce prawdziwe życie i zabrał ją do miasta. Co tak będzie sama stała na szosie. Naprawiwszy uprzednio pojazd.

Jedna rzecz nie dawała mi spokoju. Rajstopki mianowicie. Więc drażyłam temat. A gdzie dokładnie spotkał Mieczysławę? I dlaczego ona zdjęła te rajstopki?

Sama z siebie je zdjęła, bo na motoryzacji się zna? Oooo, la la. Mieczysława stała na poboczu, w lesie, tuż obok parkingu dla tirów. Tam właśnie zepsuł się ów pasek klinowy i mój mąż się zatrzymał. Mieczysława wyłoniła się zza drzew, równocześnie z nią wyjechał zaś z parkingu Ford Escort, prowadzony przez wyraźnie zadowolonego i odprężonego kierowcę.

Mieczysława wcale nie zdjęła rajstop celem poświęcenia ich dla dobrej sprawy, lecz właśnie miała je założyć.

Konkretyzując, były to pończochy z koronką, czerwone, i służyły nieco innej sprawie. Szczerze mówiąc, nie wiem, w jakim celu Miećka zdjęła pończochy. Może na wyraźne życzenie właściciela Forda Eskorta. W każdym razie, gdy mój mąż ujrzał w rękach Mieci substytut paska klinowego, uradował się ogromnie i zaczął nęcić niewiastę. Niewiasta najpierw pomyślała, że trafia się kolejny klient, ale po chwili zorientowała się, że może zarobić znacznie więcej, nie ruszając palcem (oczywiście ona musiałaby ruszać zupełnie inną częścią ciała). I tak właśnie rozpoczął się największy romans mojego małżonka.

Mąż dzisiaj do mnie przyszedł, choć on odważnie twierdzi, że przyszedł do siebie, bo to mieszkanie jest wciąż naszą wspólną własnością.

Przyszedł, jak to się wyraził, porozmawiać. Gdy tylko ujrzałam go w drzwiach (nawet nie zadzwonił, otworzył sobie kluczem – najwyższy czas zmienić zamki), wrzasnęłam efektownie:

– Stać! Ani kroku dalej! Zanim wejdiesz do łazienki, proszę okazać mi aktualną książeczkę zdrowia, swoją i Mieczysławy, oraz wyniki testu na HIV z tego miesiąca!

– Zlituj się, za chwilę się zsikam. Ledwie zdażyłem na górę!
– rozpoczął błaganie.

– Nie ma mowy. Idź gdzie indziej – byłam nieugięta.

– Gdzie? – jęczał, trzymając się za jądra.

– Na dół, pod drzewkiem. Nie wejdiesz do łazienki, chyba że po moim trupie – zakończyłam, rozpościerając ręce w geście Rejtana. Wybiegł jak wystrzelony z procy. Podglądałam go przez okno.

– Jesteś wstrętna – zakomunikował po przyjsciu z powrotem.

– Tak? To co powiedzieć o tobie? Czy to ja mam romans z tirówką i czy to ja sikam pod blokiem?

– Jak można odmawiać komuś prawa do skorzystania z toalety?

– najwyraźniej nie mógł tego zrozumieć.

– Jak można zabierać z trasy tanią tirówkę i wpuszczać ją do mojej firmy? – odwzajemniłam mu uczucie.

– Oooo tam, od razu tanią! – dzielny rycerz stanął w obronie czci swej Mieczysławy.

I zreflektował się po sekundzie:

– A w ogóle to jaką tirówkę???

– Daj spokój. Oboje wiemy doskonale, że dziewczyna nie sprzedawała zebranych w lesie jagód. Ani grzybów. Ani niczego innego, co nadaje się do spożycia w sposób tradycyjny. Generalnie Miećka nie żyje z darów lasu, choć także powiedzieć nie mogę, by nie żyła z darów natury. Tylko ty mogłeś się na nią połazczyć. Co to? Polski Czerwony Krzyż jesteś? Matka Teresa z Kalkuty? Trzeba było ją przelecieć i już. Ale nie, ty musiałeś ją do domku przywieźć! Czy ty dokładnie to sobie przeliczyłeś? Ile ona cię będzie kosztowała? Bardziej kalkulowałyby ci się używać panienkę z doskoku.

– Nic nie rozumiesz Heleno!

– Ha! Widzę, że wciąż masz słabość do właścicielek niemodnych imion!

– Heleno, ja się zakochałem! – wydusił z siebie w ogromnych bołściach.

– Zwariowałeś, a nie zakochałeś. Jak można zakochać się w takim buraku o inteligencji pantofelka? I wynocha mi stąd, ale już!

– Ale ja przyszedłem porozmawiać.

– No to pięknie. Rozmowa skończona – ruszyłam w jego kierunku i musiałam wyglądać strasznie, bo cofnął się do drzwi.

– Heleno, pomyślałem, że może byś się wyprowadziła, a ja zamieszkałbym tu z Misiaczkiem. Kupię ci kawalerkę, to mieszkanie i tak jest dla ciebie za duże...

– Ciężarówka cię przejechała czy cegła ci na głowę spadła? Udam, że tego nie słyszałam, jeśli wyjdiesz stąd w ciągu pięciu sekund

– wciąż parłam na niego.

– Helenko, uspokój się, przecież jesteśmy cywilizowanymi ludźmi.

– Ja jestem, ale ty na pewno nie. Ja nie zbieram śmieci z ulicy i nie

przynoszę ich do domu – spojrzałam znacząco na zegarek. – Masz jeszcze trzy sekundy.

– Dobrze, już dobrze, wychodzę, tylko odłóż ten nóż – powiedział spocony jak mysz

– Jaki nóż? – zdziwiłam się szczerze.

– Ten, który trzymasz w ręku!

O rany! Zapomniałam, że zanim przyszedł jak do siebie, bez dzwonienia i bez pukania, robiłam salatkę pomidorową i siekałam warzywa.

Spojrzałam w lustro i ujrzałam kobietę z pianą na ustach i nożem w prawym ręku, skierowanym dokładnie ostrzem w stronę wielkiego brzucha (to nie brzuch – to mięsień piwny) mojego męża. I to byłam ja. Wybiegł z mieszkania tak samo szybko jak wtedy, gdy się prawie zsikał.

Odłożyłam nóż, zaparzyłam sobie herbatkę o wdzięcznej nazwie „Grzane wino”, odnalazłam gazetę z dużą liczbą ogłoszeń reklamowych i zagłębiłam się w dział „Dla domu”. Gdy odszukałam rubrykę z usługami, zadzwoniłam do ślusarza i poprosiłam, aby przyjechał. Po 45 minutach miałam nowiusieńkie trzy zamki. Kosztowało mnie to jedną trzecią wypłaty, ale co tam! Żadna tirówka nie będzie się panoszyć po moim mieszkaniu. Miećka nadal będzie musiała wycierać się w hotelowe ręczniki. Niech żyją zdradzane, porzucone żony! Teraz muszę pomyśleć, jak wykurzyć ją z firmy.

* * *

Zapomniałam już, jak to jest gdy się ma naście lat. Jakie wtedy mamy problemy. Drobne – a urastają do wielkości kuli ziemskiej. Wszystkie są gigantyczne i wszystkie są ważne. Rodzice to stare zgredy, nie rozumieją nas i wszystko robią nam na złość. Każą się uczyć, wracać do domu przed dziesiątą, sprzątać pokój i nie słuchać głośno muzyki.

Piszę do Ciebie z prośbą o pomoc. Jak zrzucić pięć kilogramów?

Uwielbiam skoki narciarskie. Jestem fanką Svena Hannawalda. Jednak z tego powodu moi koledzy i koleżanki z klasy uważają mnie za zdrajcę. Dlaczego?

Zauważyłam, że podoba mi się chłopiec z II klasy gimnazjum. Kiedy go widzę, wciąż się w niego wpatruję. Kiedyś siedziałam na ławce i on się na mnie spojrział. Wtedy ja na niego spojrzałam, a on się odwrócił. Czy to coś znaczy?

Dorota

Po pierwsze... Jeśli będziesz ćwiczyła przynajmniej trzy razy w tygodniu dość intensywnie, ograniczysz spożywanie słodyczy, to z pewnością schudniesz. Pamiętaj też, że w chipsach także jest bardzo dużo kalorii. Zaś gimnastyka potrzebna jest nam nie tylko wtedy, gdy zrzucamy tłuszcz. Pozwala utrzymać kondycję.

Po drugie... Adam Małysz jest dla Polaków Bogiem. Dzięki niemu Polska zyskała rozgłos w świecie, a jak zapewne wiesz, nie mamy wielu osiągnięć w dziedzinie sportu. Dzięki Małyszowi znowu mamy powód do dumy. Twój koledzy uważają zapewne, że kibicowanie innemu skoczkowi, zwłaszcza rywalowi Małysza, jest niedopuszczalne. Są przekonani, że jesteś ich wrogiem. Dlatego zachowują się wobec Ciebie tak, a nie inaczej.

Z jednej strony, to dobrze, że nie ukrywasz swojej sympatii dla Hannawalda. Świadczy to o Twojej odwadze, bo przecież o to chodzi w życiu, by być wiernym własnym przekonaniom. Z drugiej zaś, wygłaszając opinie, pamiętaj, że jesteśmy narodem dość mało tolerancyjnym i łatwo możemy narobić sobie wrogów.

Po trzecie... Tamto spojrzenie prawdopodobnie nic nie oznaczało. Jednak nie poddawaj się. Dlaczego nie podejdziesz do niego, skoro ci się podoba, i nie nawiążesz rozmowy? Zawsze warto próbować. Pozdrawiam.

Troja

Mam problem. Chodzę do I klasy gimnazjum. Na początku VI klasy poznałam Maćka i zakochałam się nim od pierwszego wejrzenia. Chodziliśmy ze sobą rok. Było świetnie. Ponieważ chodziliśmy do tej samej szkoły,

spędzaliśmy ze sobą mnóstwo czasu. Pod koniec roku szkolnego coś się zaczęło psuć między nami. Maciek się zmienił, ja poznałam nowych ludzi. W końcu postanowiliśmy się rozstać. Gdy zdałam do gimnazjum, kontakt się urwał. Przez pół roku nikt inny mi się nie podobał, wciąż myślałam o Maćku. Odnowiliśmy znajomość i znów byliśmy razem. Jednak szczęście trwało krótko: on stwierdził, że ten związek nie ma szans, że nam się nie uda. I znówu jestem sama. Chociaż już nie kocham Maćka, nadal nie mogę o nim zapomnieć. A co gorsza, nie mogę sobie znaleźć nikogo innego.

Anka

Trudno zapomnieć o kimś, kto był nam bardzo bliski, nawet jeśli przestajemy kochać. Wydaje mi się jednak, że bardziej boli Cię fakt, że jesteś sama, niż to, że nie jesteś z Maćkiem. Często dzieje się tak, że uczucie się po prostu wypala, coś się kończy, by mogło zacząć się coś nowego. Często piękniejszego. Chłopcy w wieku Maćka często zmieniają dziewczyny. Musisz także pamiętać o tym, że ich „miłość” jest inna niż uczucie, jakim darzą chłopców dziewczęta. Obawiam się, że Maciek jest na etapie poszukiwań, ma przecież dopiero 13 lat. Wszystko się zmienia – nasze uczucia, związki, ludzie. Uważam, że powinnaś otworzyć się na nowe znajomości, to, co łączyło Cię z Maćkiem, potraktować jako miły epizod i zacząć żyć pełną piersią. Uśmiechaj się, myśl pozytywnie. Na pewno kogoś znajdziesz. I pamiętaj o zasadzie: nic na siłę. Miłość znajdzie Cię sama. Powodzenia.

Troja

Mam poważny problem, który dotyczy mojego byłego chłopaka. Od dłuższego czasu ze sobą nie rozmawiamy. Rozstaliśmy się przez moje głupie podejrzenia, że on ma dziewczynę. Teraz wiem, że myliłam się i winę za rozpad związku ponoszę tylko i wyłącznie ja. Niestety, moja przyjaciółka też mi w tym „pomogła”. Może to jej wina? To ona wmawiała mi, że Jarek chyba kogoś ma. Co mam zrobić? Odezwać się do niego pierwsza?

Małgorzata

Tak już w życiu jest, że za wszystko, co robimy i mówimy, musimy ponieść

konsekwencje. Czasami bardzo bolesne. Tak jak w Twoim przypadku. Twój chłopak, ciągle pomawiany o zdradzę, o rzeczy, których nie robił, miał prawo się wkurzyć i zerwać z Tobą, ponieważ zabolął go Twój brak zaufania do niego. Najwyraźniej stwierdził, że związek bez zaufania nie ma szans. Nie próbuj zrzucać winy na innych, w tym na Twoją przyjaciółkę. Nawet jeśli to ona Cię podpuszczała, to przecież Ty robiłaś swojemu chłopakowi awantury, nie ona. Trzeba brać odpowiedzialność za siebie i swoje słowa. Wyciągnij wnioski na przyszłość, bo brakiem zaufania można zrobić krzywdę sobie, ale przede wszystkim drugiej osobie. Lepiej się dziesięć razy zastanowić, zanim się zrobi coś głupiego, nieprzemyślanego. Jeżeli zależy Ci na tym chłopaku, powinnaś z nim porozmawiać. Przyznać się do błędu, przeprosić go. Powiedz, że chciałabyś spróbować go naprawić. Kto wie? Może jeszcze nie wszystko stracone?

Troja

* * *

Weronika i Karina są wspaniałe. To cudownie mieć takie przyjaciółki. Zwłaszcza wtedy, gdy przynoszą dobrą wiadomość o pierwszej w nocy.

Spalam sobie w najlepsze, ciężko zmęczona po przeczytaniu 428 listów i udzieleniu odpowiedzi na połowę z nich. Trzy dni i trzy noce. Oczy mi się zapadły, zrobiły czerwone i prawie przestałam widzieć. Czas najwyższy kupić okulary do komputera, z wielowarstwowymi szklami i ochroną antyrefleksyjną. Inaczej oślepnę jeszcze w tym roku.

Obudziło mnie walenie do drzwi. Nie wiem, jak dostały się na klatkę schodową. Śmiem podejrzewać, że albo wybiły szybę, albo też obudziły połowę mieszkańców. Na wszelki wypadek jutro dla niepoznaki założę czarne okulary, czapkę bejsbolówkę i będę chodzić na palcach. Gdy łomotanie nie ustawało, jednocześnie zaczęła dzwonić moja, nieopatrznie niewyłączona komórka, dzwonek u drzwi, a sąsiedzi wymownie stukali kijem od szczotki

zamiennie w sufit lub w podłogę, zdecydowałam, że dalszy opór nie ma żadnych szans, zwlokłam się z łóżka, wsadziłam stopy w japonki i ruszyłam. Nóż nie był potrzebny, jako że przez 20 minut dobijania do drzwi, nabrałam pewności, że osobniczki po drugiej stronie wizjera to z całą pewnością moje przyjaciółki. Choć przez chwilę myślałam, że to mój artysta malarz poczuł nagłą i niespodziewaną wenę twórczą i zapragnął namalować mnie w środku nocy. Otworzyłam im i natychmiast wykonałam w tył zwrot, kierując się w stronę miejsca świętego, czyli mojego łóżka. Nawet nie chciało mi się z nimi gadać.

– Troja! Oszalałaś chyba! – wrzasnęła na mnie z wyrzutem Karina.

– Aha... – zaczęłam niemrawo, bo jeszcze się nie rozbudziłam.

– Aha... ja oszalałam? A czy to ja dobijam się do was z dzikim wrzaskiem o wpół do drugiej w nocy?

– Kobieto, jak ty możesz sobie tak spokojnie spać, podczas gdy waży się twoja przyszłość?! – darła się dalej Karina.

– A czy ta przyszłość nie mogłaby się ważyć na przykład o dziesiątej rano?

– Widocznie nie. Mamy dwie wiadomości: dobrą i złą. Od której zacząć?

– Od żadnej. Ja chcę spać.

– Kobieto, czy ty wiesz, co się stało?

– Wiem. Zostałam brutalnie obudzona po kilku nieprzespanych nocach przez dwie niezrównoważone baby.

– Marcin jest w szpitalu. Twój mąż, Marcin, pamiętasz go jeszcze? Powoli zaczynałam dochodzić do siebie.

– Jasne, że pamiętam. Ostatnio gdy tu był, usiłował mnie wmanipulować w opuszczenie tego mieszkania, bo chciał tu zamieszkać z tym swoim Misiaczkiem o inteligencji pantofelka i buraczanych policzkach.

– To masz z bańki. Z głowy, chciałam powiedzieć. Pantofelek wrócił na swoje miejsce, przy drodze, w lesie.

- Oooo! Sama wróciła, z własnej woli?
- No właśnie nie. I po to cię obudziliśmy. Wszystko wiem od Adama. On ma dzisiaj służbę. Rany Boskie, mówię ci, co się działo przed Europejskim! Sceny jak w wysokobudżetowym filmie sensacyjnym.
- Kawy? Zaparzę, co?
- Z przyjemnością się napijemy. Też padam z nóg.
- A co, kochana? Kosmetyczka, fryzjer, solarium i masażysta to za dużo jak na jeden dzień? A jeśli chodzi o kawę, to mam tylko czekoladowo-miętową. 50 złotych za kilogram.
- Ostatecznie może być.
- W Europejskim mieszkał Marcin, wiedziałaś o tym, prawda? Z tą swoją Jagną z „Chłopów”. Troja, wiesz, ile tam kosztuje doba?
- Nie wiem i nie chcę wiedzieć.
- Zaczęło się przed dziesiątą. Pod hotel podjechały dwie bejce, znaczy BMW. Czarne, z przyciemnianymi szybami. I wysiadło kilku panów, ogolonych za zero, z dużą ilością łańcuchów na różnych częściach ciała, ubranych w eleganckie dresy. Dres marki dres.
- Byłaś tam? – zainteresowałam się tak drobiazgowym opisem.
- Niestety nie – westchnęła z żalem Karina. – Ale przepytalam portiera. Swoją drogą portier wykazał się niezwykłą przytomnością umysłu, bo jak tylko weszli, natychmiast z ubikacji zadzwonił na policję. Prewencyjnie.
- Recepcjonista usiłował wyperswadować panom, że po godzinie 22 odwiedziny gości są zakazane, ale panowie najwyraźniej mieli w tyle regulamin. Mów teraz ty, Weroniko, bo mi w gardle zaschło. Masz może mineralną?
- Żywiec Zdrój odpowiada? – spytałam i powlokłam się do kuchni. – I nie mam lodu.
- Wolalabym „Twój dzień, twoja woda”, najlepiej cytrynową lub pomarańczową, ale jak nie masz, to trudno – Karina puściła nam oczko. Uwielbiam, gdy udaje zmanierowaną damę.

– Zanim przyjechała policja – wiesz, pewnie wyczerpali przydział kasy na paliwo w tym miesiącu i kombinowali, komu ściągnąć benzynę, albo szli pieszo, nie wiem. W każdym razie, zanim dotarli, panowie w gustownych dresach skuli jedną parą kajdanek dwóch ochroniarzy hotelowych. Portiera nie znaleźli, czaił się wciąż w toalecie, cały czas na wstrzymanym oddechu, aż dziw, że się biedaczek nie udusił.

– Weronika, daruj sobie szczegóły. Chciałabym wiedzieć, dlaczego Marcin jest w szpitalu i co się stało z Mieczysławą.

– Ależ szczegóły to esencja życia!

– Dawaj lurę, nie lubię mocnej herbaty!

– Miała być kawa – ocknęła się Karina.

– I jest. My o czym innym teraz mówimy. Nie śpij! Obudziłaś mnie, to teraz cierpimy razem. Zgodnie. Solidarnie.

– Recepcjonista wyrecytował im wszystko jednym tchem. Troszkę się chyba przestraszył przystawionego do głowy kałasznikowa.

– Co za mięczak – prychnęła z pogardą Karina.

– Proszę! A ty wolałabyś, żeby był twardzielem z kulką w głowie?

– Ty wiesz, ile kosztował remont Europejskiego? – Karina ma zawsze najświeższe wiadomości. – A teraz znowu mieliby malować ściany? Chłopcy pobiegli na drugie piętro i weszli do pokoju razem z drzwiami.

Marcin akurat wychodził z łazienki. Tak na szybko złamali mu nos. Jagna sama się poddała. Oddała. Spakowała grzecznie manatki (wiesz, że miała tego dwie walizy? A przecież Marcin ją z pobocza wziął, tak jak stała, bidulka, w samych pończoszkach, a właściwie nawet bez, bo posłużyły za pasek klinowy, w kusej spódnicy i cienkiej bluzeczce). Na pożegnanie, aby wyperswadować Marciniowi samarytańskie gesty ratowania niewiast, połamali mu trzy zębra.

– Rozumiem. A reszty się domyślam.

– Dokładnie tak! A Miećka to nie taka tam byle jaka tirówka, tylko ich najlepszy towar. Supersprzedające się ciało na trasie Toruń – Bydgoszcz.

– I co? Może teraz powinnam nabrać do niej szacunku?

- Nie, ale może powinnaś zastanowić się nad pojechaniem do Marcina do szpitala? – nieśmiało podsunęła pomysł Karina.
- A może to on powinien się zastanowić, co robi, zanim pozwolił Miećce wsadzić tylek do naszego samochodu? – robiłam się wściekła.
- Troja, trochę współczucia. Doskonale wiesz, że facet myśli nieco inną częścią ciała niż kobieta. Odpuść mu.
- I kto to mówi? Nie wierzę, że namawiacie mnie, żeby okazała litość. Ja sypiałam z Miećką przez trzy tygodnie? A tak w ogóle, to jak oni znaleźli Marcina?
- To proste. Koleżanka Mieci zapisała numery rejestracyjne.
- To kiepscy fachowcy, jeśli zajęło im to aż tyle czasu.
- Może dopiero od niedawna w branży. Kontakty niewyrobane. Całe szczęście, że to nie żadna odnoga Pruszkowa albo Wołomina.
- Cały przebieg zdarzeń znasz od Adama?
- Tak. Oczywiście, zanim patrol dojechał na miejsce, śladu nie było po modniachach w dresach. Recepcjonista dostał amnezji, portier omal nie zszedł ze strachu na zawał w tym kibelku. Nikt nie chciał składać zeznań. Mówię ci! Zbiorowa amnezja.
- Jak to? A Marcin?
- Marcina nie pozwolił przesłuchać lekarz. Ale moim zdaniem on też nic nie powie.
- Mam nadzieję, że nie. Dostyc wstydu nam już narobił.
- Troja, pojedziesz do niego?
- Pojadę. Jak się wyśpię.
- No to się posuń. Powiedziałyśmy Tomkowi i Adamowi, że jedziemy do ciebie i będziemy tu nocować.
- Sama się posuń. W szafie jest komplet pościeli i poduszki. Możecie spać na sofie w drugim pokoju. Ja naprawdę muszę się wyspać. A z wami w łóżku to niemożliwe.
- Znaj naszą dobroć. Pościelimy sobie w drugim pokoju. Już prawie zasypiałam, gdy usłyszałam, jak Karina wślizguje się do pokoju. Zawsze i wszędzie rozpoznam ją po sposobie, w jaki się porusza. Prawdziwa kocica. Przykucnęła obok łóżka i szepnęła:

- Wiem, że nie śpisz. Przestań już o nim myśleć... Nie martw się. Spróbuj zrozumieć i wybaczyć.
 - Nie prowokuj mnie. Zresztą już wybaczyłam i zrozumiałam.
 - Jak to? Ja tylko żartowałam.
 - Tak to, że taka wierząca jesteś, a nie wiesz, że Pan Bóg kazał się dzielić? – powiedziałam i uśmiechnęłam się pod nosem.
 - Troja – pamiętaj, że Pan Bóg, kiedy zamyka drzwi, otwiera nam okno.
 - No, żebyśmy mieli z czego wyskoczyć – roześmiałam się.
 - Idź w cholerę – otrząsnęła się Karina. – Prawie ci uwierzyłam. A wracając do tematu. Wszystko będzie dobrze. To tylko kilka stłuczeń. Rozmawiałam z lekarzem. Śpij dobrze i pamiętaj, że cię kochamy.
- Dziękuję Ci, Boże, za takie przyjaciółki. Wiedziały, że za nic w świecie nie przyznam się do tego, że martwię się o Marcina ani tego nie okażę. I jednocześnie wiedziały, że zamiast spać, leżę sama w ciemnym pokoju i się zamartwiam. Przyjaźń to cudowny wynalazek. Choć tak bardzo skomplikowany w obsłudze.

* * *

Wtargnęła w moje życie nagle i niespodziewanie, wnosząc oprócz koszarnej ilości błota na martensach, perlisty śmiech, spontaniczność, entuzjazm i marychę w doniczce.

Ale po kolei. Mam siostrę. Starszą. Jeśli do tej pory o niej nie wspomniałam, to tylko dlatego, że nie mam się czym chwalić. Jednak to nie ona trzymała w dłoniach maryskę. Moja siostra zatelefonowała do mnie w poniedziałek z samego rana i wykrzyknęła słuchawkę:

- Witaj, siostrzyczko. Radosną nowinę ci niosę. Będziesz miała dziecko!
- Chyba chciałaś powiedzieć: „Będę miała dziecko”. Ty będziesz je miała.
- Przecież ja już mam. Ty będziesz miała.

– Tia, co ty powiesz? I jak to się stało, że ty wiesz o tym przede mną?

– Skup się: ja mam dziecko. Ty nie masz. Ale będziesz miała. Moje dziecko. Oddaję ci pod opiekę, bo muszę pilnie wyjechać na trochę.

Już ja znam to jej „trochę”. Ostatnio jak wyjechali na trochę, nie było ich pół roku. Matka o mało nie zeszła śmiertelnie, bo moja starsza siostra postanowiła zaszyć się w Bieszczadach, bo tam podobno jest lepsza aura. Magia drzew, śpiew ptaków, pohukiwania sowy (czy puszczyka?). I takie tam. Telefon komórkowy, jak i inne przydatne zazwyczaj wynalazki, uznała za całkowicie zbędne i wyrzuciła podczas jazdy samochodem, aby nie mieć żadnych pokus. Po miesiącu postanowiliśmy zgłosić jej zaginięcie na policję. Po dwóch miesiącach jej zdjęcie zdobyło szóstą stronę lokalnego dziennika, a konkretnie rubrykę: „Wyszedł z domu i nie wrócił”.

Trzy miesiące później zgłosiliśmy się do biura detektywistycznego Rutkowskiego i stwierdziliśmy, że nas na jego usługi nie stać. Wynajęliśmy więc jasnowidza, który niestety nic nie widział. Cztery miesiące później moja mama wystąpiła w programie „Ktokolwiek widział, ktokolwiek wie”.

Piąty miesiąc przyniósł wiadomość o odnalezieniu zwłok kobiety o rysopisie odpowiadającym mojej siostrze, wezwano ojca do kostnicy w celach dokonania identyfikacji. Ojciec nie zidentyfikował swojej córki, a mojej siostry, ale za to dostał wylewu. W szóstym miesiącu zjawila się, jak gdyby nigdy nic, moja siostra, ponieważ miała wyznaczony zabieg o pięknej nazwie „liposukcja”.

Jednymi słowy: Anka wróciła po sześciu miesiącach totalnego milczenia, żeby sobie odessać tłuszcz z tyłka.

Gdy zatem dzisiaj usłyszałam o planowanym wyjeździe, lekko mnie zmroziło.

– Aniu, nie godzę się na nic. Nie dam się w nic wmanewrować.



Po twoim ostatnim wyskoku prawie zmniejszyła nam się rodzina, co niektórzy jej członkowie wymagali długiej rekonwalescencji.

– Helenko, ale to już załatwione. Jadę i już. Nie mogę tego odwołać.

– Co tym razem? Znowu Bieszczady, Alaska czy może samotny rejs dookoła świata?

– Nie uwierzysz! Mateusz dostał kontrakt w Iraku. I bierze mnie ze sobą! Ale, niestety, Klementynka kategorycznie odmówiła pojechania z nami.

– Jedna mądra w rodzinie. Oprócz mnie oczywiście. Co wy tam będziecie robić?

– No wiesz, Mateusz będzie siedział na jakiejś platformie, no a ja... Sama rozumiesz...

– Zapomnij. Tam nie ma farm piękności, ośrodków SPA i niczego takiego. Jest za to cholerny upał, pełno rozwścieczonych Irakijczyków i napalonych żołnierzy.

– Helenko, w takim razie muszę przemyśleć jeszcze raz moją decyzję. Jesteś pewna, że tam nie ma ani jednego salonu piękności? – zaniepokoiła się poważnie moja siostra.

– Aniu a co to za sprawa, z którą do mnie zadzwoniłaś? Pakujesz się i chcesz, żebym pomogła ci dopinać walizki?

– Eeee... No bo... – zaczęła się jąkać. – Wylatujemy za dwie godziny i...

– Jesteś szalona! Czy ty kiedykolwiek zaczniesz się zachowywać jak starsza siostra, a nie jak walnięta małolata? Trochę odpowiedzialności, racjonalnego myślenia, powagi stosownej do wieku...

– Nie obrażaj naszej mamy! – zaprotestowała nie wiadomo dlaczego.

– A do tego jesteś podstępna. O tobie mówiłam.

– Słuchaj, Helenko, bo czas mi się kończy... Obiecuj mi, że nie będziesz dla niej ani zbyt surowa, ani zbyt wyrozumiała...

– Dla kogo? I dlaczego dzwonisz do mnie z komórki?

I w tym momencie zadzwonił dzwonek do drzwi.

– Poczekaj, ktoś przyszedł, muszę otworzyć. Nie rozłączaj się.



– Właśnie dlatego dzwonię do ciebie z komórki – powiedziała stojąca w progu moja siostra.

Obok niej stało owo dziecko: nie moje, lecz jej, choć miało stać się moim na jakiś czas.

– Helenko! Powierzam ci pod opiekę moją Klementynkę – tonem uroczystym jak na ceremonii wręczania Oscarów przemówiła moja siostra. Ona wszystko ma, o nic się nie musisz martwić. Tu jest karta kredytowa, korzystaj z niej, ile chcesz. Nie daj sobie wmówić, że pozwalam jej wracać do domu po 22. W ogóle niczego nie daj sobie wmówić. Tak to ona jest cudownym dzieckiem: nie pije, nie pali, nie narkotyzuje się. W szkole ma same piątki. Tylko ta Marta z jej ławki ma na nią zły wpływ. Zresztą, zostawię ci listę. Wszystko spisałam: co jej wolno, a czego nie. No to pa, na dole czeka Mateusz w taksówce, jedziemy na lotnisko. Och! Siostrzyczko!

– rozczuliła się nagle Anka. – Uściskaj mnie, bo przecież możemy się więcej nie zobaczyć. Tam jest podobno niebezpiecznie.

– Zamknij się. Nie mów takich bzdur przy dziecku. To po cholere tam jedziesz? – wkurzyłam się całkiem serio.

– Ja też cię kocham. Odezwę się, jak dotrzemy na miejsce.

– Jasne, jeśli tylko nie wyrzucisz przez okno samolotu telefonu.

I poszła. Zostawiła po sobie zapach perfum (Daniel pewnie wiedziałby, jaka marka, ale chwilowo go nie było), ogromniastą stertę walizek oraz swoje dziecko.

Z ciężkim westchnieniem rezygnacji rozejrzałam się po moim mieszkaniu, które wyglądało teraz jak tuż przed ewakuacją i owo radosne spojrzenie zawiesiłam na mojej siostrzenicy. Dziecię miało około 160 cm wzrostu, czyli prawie tyle co ja, 12 lat, 120 warkoczyków na głowie, buty martensy, pink spódnicę i T-shirt skapo skrojony.

– Klementyna? – wolałam się upewnić, bo moje kontakty z rodziną są niestety bardzo rzadkie. – Urosłaś jakoś – głupawo dodałam.

– Tak, ciociu, dzieci mają to do siebie, że rosną – grzecznie dygnęło dziecko w martensach.

Niesamowite. Nie wiedziałam, że można dygać, mając na nogach takie potworne ortopedyczne obuwie.

– Chodź tu, siadaj – powiedziałam pojednawczo i ponownie wyrwało mi się z płuc ciężkie westchnienie.

– Nie lam się, ciociu. Mama tak zawsze. Przyzwyczaiłam się.

– Ja chyba nigdy się nie przyzwyczaję.

– Spoko. Dasz radę.

Zaniepokoiło mnie to „spoko”. Zmierzyłam wzrokiem Klementynę i lekko się zmartwiłam.

– Czy ty aby na pewno masz tylko 12 lat?

– Podobno. Ale wyglądam poważniej, bo miałam ciężkie dzieciństwo, niedługo skończę 13.

– Klementyna, możesz wprowadzić się do pokoju po prawej stronie – powiedziałam łaskawie.

– Jeśli ciocia nie ma nic przeciwko temu, to wolałabym pokój po lewej – ujawniały się pierwsze cechy charakteru mojej siostrzenicy.

– Mam coś przeciwko. Ten po lewej jest bliżej łazienki – zauważyłam.

– No właśnie – powiedziało dziecię.

Też zauważyło.

– Ciociu, gdzie mam rozpakować resztę rzeczy?

– Spróbuj u sąsiadów, może się zgodzą – poradziłam uczciwie, bo każdy milimetr moich szaf został już wykorzystany.

Przez kolejne trzy godziny wypakowywałyśmy to, co Anka z Klementyną pakowały. W tym czasie miałam okazję przekonać się, że moja siostrzenica jest na bieżąco z modą dla nastolatek i doskonale wie, co jest „trendy”. W przeciwieństwie do mnie. Może więc i ja będę miała jakąś korzyść z tego naszego wspólnego mieszkania.

– Ciociu, a gdzie mam to postawić? – spytała mocno już zmęczona Klementyna, wskazując na roślinę zasadzoną w doniczce dość okazałych rozmiarów. Jedynie siła woli pozwoliła mi nie zemdleć. 12-letnie dziewczę w czarnych martensach, różowej spódnicy

i ze 120 warkoczykami na głowie, trzymało w rękach donicę z marihuaną. Może i jestem nie na czasie, ale telewizję to oglądam. I tylko dzięki temu wiedziałam, co dzierży w dłoniach moja nieletnia siostrzenica.

– Czy ty wiesz, co to jest? – głos mi się dziwnie zatrząśł.

– To jest zielony kwiatek i nazywa się marihuana.

– Skąd go masz? – dochodzenie rozpoczęte.

– Dostałam od mojego chłopaka – dumnie wypięła pierś do przodu Klementynka.

Nie dość, że mi zakłada plantacje marychy, to jeszcze się okazuje, że ma chłopaka.

– Ile twój chłopak ma lat, jeśli można wiedzieć?

– Małolat, ciociu, 16, ale co zrobić, trudno, jak się nie ma co się lubi, to się lubi, co się ma – powiedziało 12-letnie dziewczę z lekkim rozczarowaniem w głosie.

– Postawimy to na razie w kuchni, pod stołem, a jutro się tym zajmę.

Skoro podzieliłyśmy teren, ustanowiłyśmy strefy wpływów (ja wpływam na ciebie, nie ty na mnie), możemy coś zjeść, umyć się i spać. A jutro omówimy resztę.

Rano okazało się, że jeśli nie chcę posikać się w majtki, muszę wstawać o szóstej rano.

Inaczej Klementyna zamyka się w łazience i okupuje ją przez godzinę. Po 20 minutach przestępowania z nogi na nogę zaczęłam się dobijać:

– Klementyna, co ty tam tak długo robisz? Nic ci nie jest? Dobrze się czujesz?

– Dobrze ciociu, jeszcze tylko chwila i wychodzę.

– Dziecko, może jednak byś mnie wpuściła na chwilę? Muszę. Mój pęcherz dłużej tego nie wytrzyma – zaczęłam jęczeć pod drzwiami mojej własnej łazienki.

Pan Bóg mnie skarzał za niewpuszczenie mojego męża bez ważnej książeczki zdrowia.



– Dziecko, no co ty tam robisz?

– Liczę – padła krótka odpowiedź.

No no no – pomyślałam. Ambitne dziecko. I jakie gorliwe. O szóstej rano uczy się matematyki w łazience. Nie marnuje ani minuty. Stąd te piątki, o których mówiła Anka.

– A co liczysz, kochanie? Może ci pomóc?

– Raczej nie, ciociu.

– Może jednak? – koniecznie chciałam się wykazać moimi zdolnościami matematycznymi. – Co ty tak liczysz?

– Włoski liczę. Pod lewą pachą mam 11, pod prawą mam tylko osiem, ale za to długie i kręcone. A tam na dole...

– Tamto na dole się łono nazywa...

– Oooo, to już chyba będzie ze czterdzieści. Ale to wciąż za mało. Dziewczyny w klasie mają więcej. Taka Emilka na przykład to mówi, że...

Mowę mi odebrało. Nie bardzo chciałam wiedzieć, co mówi Emilka. Bardzo natomiast bolał mnie pęcherz. Weszłam do łazienki razem z drzwiami, w efekcie czego mam lekko przetrącony bark. Drzwi na szczęście nie ucierpiały. Wypchnęłam liczącą włosy łonowe Klementynę i szczęśliwie opadłam na muszlę, wysikując oprócz dwóch litrów czegoś tam, nadmiar stresu. Obawiam się, że będę się musiała wiele nauczyć, aby przeżyć to pół roku pod jednym dachem z moja siostrzenicą.

– Klementyna, powiedz lepiej, jakie masz koleżanki – zmieniałam temat.

To chyba było trudne pytanie, bo Klementyna się zamyśliła, zmarszczyła czoło, dwa razy cmoknęła i odpowiedziała:

– Koleżanki mam takie różowe.

Moja krew. Podobno, gdy zaczęłam chodzić do przedszkola, mama poddała mnie jak co dzień przesłuchaniu na okoliczność posiłków i towarzyszy zabaw.

– Helenko – słodko zaczęła mama. – A co było na śniadanko?

– Zupka.

- Jaka?
- Mleczkowa.
- A na obiadek?
- Zupka.
- Jaka?
- Pomidolkowa.
- A masz jakieś koleżanki?
- Mam.
- A jakie one są?
- Lóziowe.

Bo były różowe. Wszystkie prawie. Same klony.

Wieczorem się wkurzyłam po raz chyba 26. Klementyna, podobnie jak jej mamusia, nie uznaje telefonów. Czekałam na nią w oknie do 22:30. Rwałam sobie włosy z głowy i wyobrażałam sobie najgorsze scenariusze. Wreszcie przyszła.

Zero skruchy. Pachniała dymem z papierosów. A może to haszysz? Nie jestem zorientowana. Miała coś na ustach. Wzięłam ją za kołnierz i przystawiłam pod lampę. Na ustach miała pomadkę. Rozmazaną. Pewnie zrobił jej to miłośnik kwiatów doniczkowych. Zabiję gówniarę, zanim zajdzie w ciążę. To niemożliwe. To nie mogło zdarzyć się mnie!

- Gdzie byłaś???
- ryknęłam na cały głos.
- Na chipsach byłam – odpowiedziało dziecię i poszło do swojego, mojego pokoju.

* * *

Daniel się odnalazł. Wrócił z tego wyjazdu plenerowego jakiś zmizerowany, blady i z podkrążonymi oczami. Ale rześki wciąż tak samo. Energia go rozpierała. Wpadł jak bomba do mojego przedpokoju, uprzednio wepchnąwszy mnie do środka, bo nieudanie usiłowałam zatrzymać go w korytarzu.

Ale on miał jak zwykle w nosie granicę, jaką mu wyznaczyłam



i najwyraźniej chciał się zbliżyć.

– Gołębeczko moja, nie masz pojęcia, jak się za tobą stęskniłem!

– wykrzyczał na pół klatki schodowej.

– Wyglądasz tragicznie – postanowiłam zacząć od komplementów.

– Byłeś na robotach przymusowych? Czy Związek Malarzy organizuje teraz plenery w obozach pracy? Widziałeś się w lustrze?

– Och, skarbenku! Pracowałem dzień i noc – zagalopował się mój artysta.

– Noc, powiadasz? – czujność mnie nie opuszczała. – A w nocy malowaliście farbami fluorescencyjnymi?

– Ależ nie, oczywiście, że nie. Malowaliśmy w dzień, a w nocy dyskutowaliśmy. Wiesz, jak to jest... – i tu postanowił zakończyć niewygodny dla siebie temat.

Tak tak, jasne, że wiem. Trawka, haszysz, wóda i seks do rana

– pomyślałam nie wiedzieć dlaczego.

– Chciałeś coś? – kulturalnie spytałam.

– No wiesz! Jak możesz? – nadał się malarz, dość kiepsko udając oburzenie. – Ja przybiegam do ciebie stęskniony, po takim długim czasie rozłąki, a ty mnie tak witasz? Nawet mnie nie pocałowałaś!

– Bo jedzie od ciebie gorzelnią, wytwórnią papierosów i Bóg wie czym jeszcze. A poza tym, nie krzycz tak, bo dziecko śpi – dodałam z godnością.

– O nie! Powiedz, że to nieprawda! Jak mogłaś mi to zrobić?!

Ja cię tak kochałem! – zaczął przedstawienie Daniel.

– O co ci teraz chodzi?

– Kto jest ojcem? – zażądał kategorycznie odpowiedzi.

– Jak to kto? Mój szwagier! – zdumiałam się.

– Czy twoja siostra o tym wie?

– No, raczej.

– A czy on o tym wie?

– No, raczej.

– Och, nie! Pochodzisz z patologicznej rodziny! A ja jestem taki wrażliwy! Jak mogłaś mi to zrobić, Heleno? O! Heleno! – dramatycznie

przyłożył rękę do czoła.

– Daniel. Ja zaczynam mieć tego dosyć. Czy w programie tego pleneru mieliście także warsztaty teatralne? Jeśli tak, to z przykrością muszę powiedzieć, że orłem nie jesteś.

– Heleno! O! Heleno niewierna! – zdawał się nie słyszeć artysta.

– Jak to niewierna?! – tym razem ja się oburzyłam. – Przyszedłeś tu, żeby mnie obrażać?

– Ile lat ma to dziecko? – zacięwał się.

– 12.

– O Jezu! – kurcze, jaki pobożny się zrobił. – Ukrywałaś je przede mną, ha! To tak! Bałaś się, że nie zechcę utrzymywać także twojego dziecka!

I tu przegiął. Nie dość, że to ja utrzymuję jego, to jeszcze wyzywa mnie od niewiernych. Sam znika na długie tygodnie i wraca wyglądając jak po ciągu alkoholowo-orgiastycznym, i drze mordę, robiąc przy tym miny jak wyjątkowo niezdolny student pierwszego roku szkoły teatralnej.

– Wyjaśnijmy sobie coś. Po pierwsze: to dziecko mojej siostry, która wyjechała za granicę i powierzyła mi małą pod opiekę. Po drugie, wcale nie jestem pewna, czy powinnam ci w ogóle to wyjaśniać.

– O, perelko moja! Mogłaś od razu mi to powiedzieć! – rozradował się Daniel.

– Od razu to ty zaczęłaś histeryzować. Więc nie mogłam. A kiedy już mogłam, to nie chciałam. Ale dziękuję ci serdecznie za tę scenkę rodzajową, ponieważ pozwoliło mi to spojrzeć na nasz związek z zupełnie innej strony.

– Kochaniel! Jesteś miłością mego życia. Chodź do mnie, muszę cię pocałować – zrobił krok do przodu, a ja trzy kroki do tyłu.

– Przeżyłam z tobą kilka dość miłych chwil, nie będę ukrywała. Ale uważam, że powinieneś poszukać sobie innej muzy.

– Ależ ja cię kocham! – zapewnił Daniel.

– Kochasz siebie i niech tak zostanie. Jesteś szalony i bardzo cię

lubię. Naprawdę. Ale na dłuższą metę ten związek nie miał szans. Znadto się różnimy.

Daniel usiadł na brzegu łóżka i popadł w zadumę. Następnie zaczęły trząść mu się ręce. Bałam się, że za chwilę się popłacze, a tego bym nie zniosła.

– Helenko, czy będę mógł do ciebie kiedyś zadzwonić? – żal mi się go zrobiło, jak Boga kocham.

– Jasne, zawsze chętnie wypiję z tobą flaszkę wina.

Wstał i skierował się w stronę drzwi. Usłyszałam, jak panele skrzypnęły w pokoju Klementynki, ale nie byłam pewna. Może mi się zdawało. Postanowiłam iść na całość i sprawdzić, czy moje przyjaciółki się nie myliły. Z pełną nonszalancją w głosie zapytałam Daniela na odchodne:

– Kochanie, masz może przy sobie działkę amfy, skręta może, chętnie bym sobie strzeliła?

– Nie mam, właśnie mi się skończyła – powiedział zaskoczony Daniel i ocknął się.

Mam cię, bratku! Cholera jasna! Prawie wdepnęłam w wielką, śmierdzącą kupę.

– Przykro mi, ale nie licz na wino. I raczej nie dzwoń – powiedziałam i zatrzasnęłam za nim drzwi.

Smutno mi się zrobiło. Bardzo smutno. Rozkleiłabym się prawie, ale nie pozwoliła mi na to moja przybrana córka, wyłaniając się ze swojego, mojego pokoju.

– Brawo, ciociu! Ale ciocia go spuściła!

– Słyszałaś wszystko? Tak mi wstyd! Przepraszam cię, dziecko!

– Wstyd to powinno być jemu, bo okazał się naćpanym, zalanym artystą. Dziwię się tylko, że ciocia wcześniej nie zauważyła. Jak długo ciocia się z nim spotykała?

– Czekaj, czekaj. Do letniej sesji. W drugim semestrze, czyli jakies cztery miesiące. Bo w wakacje rozplynął się jak kamfora.

– Rany! I się ciocia nie tropnęła? Przed dziurkę od klucza widać, że to ćpun. Podglądałam i podsłuchiwałam – przyznało dziecko.

– A skąd ty wiesz, jak wygląda ćpun? – zaniepokoiłam się. – Ty chyba nie...

– Jasne, że ja nie. Głupia nie jestem. U nas pod szkołą pełno takich jak ciocia malarz. Żal mi ich, życie marnują. Sobie i innym. Może i mam szaloną matkę, więc odziedziczyłam szaleństwo w genach, ale ja, ciociu, jestem mądrą dziewczynką. Spox, nie ma obaw.

I powiedziała to 12-letnia dziewczynka, jednocześnie dodając, żebym się nie przejmowała, bo znajdzie mi faceta. Nie ćpuna. I nie alkoholika.

– Co jest na śniadanie? – rzeczowo zapytała.

– A co jest w lodówce? – nierzeczowo spytałam ją.

– Głównie światło. W lodówce to nie ma ciocia za wiele. Niedawno sprawdzałam – Klementyna była na bieżąco z zawartością mojej lodówki.

– To ja skoczę do sklepu, a ty się ubierz, dobrze? – rozdzieliłam obowiązki.

– Dobrze. Tym razem się zgodzę. Ale niech ciocia kupi tylko bułki, jajka i dżem. Jak tylko wrócę, to zrobimy porządne zakupy. Przez Internet.

– A ty się gdzieś wybierasz? – proszę, tu mnie zagaduje, a jednocześnie uknęła coś za moimi plecami.

– Ciociu, wakacje się skończyły. Wybieram się do szkoły. Niech tylko ciocia mi nie wpada w panikę.

– Staram się, ale to nie jest takie proste – przyznałam się do obaw.

– Ciociu, z dziećmi zawsze na początku jest kiepsko, ale potem się wszystko układa. Wiem to z autopsji. Ułóż nam się, zobaczy ciocia – po raz kolejny pocieszyła mnie maślana i znikła w swoim, moim pokoju.

Kiedy z niego wyszła, prawie jej nie poznałam. Włosy, mimo że wciąż zawarkoczykowane, zaplotła w dwa grube warkocze. Ubrana była w dżinsową spódniczkę do kolan, prześliczną białą bluzeczkę z żabocikiem, z nóg zrzuciła martensy i zastąpiła je sandałami.

Przyjrzałam się mojej siostrzenicy po raz nie wiem który i stwierdziłam, że jest dziewczęciem przecudnej urody.

– Och! Żebym choć w połowie była tak ładna jak ty! – wyrwało mi się ciut za głośno.

– Co ciocia? Żarty sobie ze mnie stroi? Przecież ja jestem wierną kopia cioci. Mama nieraz mówiła, że jestem podobna nie do niej, ale do cioci Heleny.

Podeszła do mnie, wzięła mnie za rękę i pociągnęła w stronę lustra. Stała obok mnie i powiedziała:

– No widzi ciocia? Ja wyglądam jak ciociny klon.

Klon zjadł śniadanie, wrzucił komórkę do plecaka i poszedł poszerzać wiedzę.

* * *

Marcin nie wyglądał najlepiej. Opuchlizna wprawdzie zeszła mu z twarzy, ale jego nos mienił się wszystkimi kolorami tęczy z silną dominacją fioletu, zieleni i żółci.

Serce mi się ścisnęło, jak go zobaczyłam. Głupie to serce jakieś, czy co? Przyszedł, kiedy Klementyna była w szkole lub tak przynajmniej twierdziła.

Przytachał ze sobą bukiet, z którym ledwie zmieścił się w drzwi. Przyznam szczerze, że takie bukiety widziałam do tej pory jedynie w amerykańskich filmach i skrycie marzyłam, żeby kiedyś taki dostać. Trzeba było Mieci tirówki i Daniela malarza amfetaministy, żeby marzenia się spełniły. Marcin tym razem użył dzwonka, nie wiem, czy doszły go plotki o zmianie zamków, czy też nabral kultury. Czyżby, dzięki panom dresiarzom, spokorniał lekko? Wyglądał tak żałośnie, że chyba tylko Hitler by się nie ugiął.

– Proszę, wejdz. Właśnie zagniatam ciasto na kluski ze śliwkami. Jeśli masz ochotę, możesz zostać. Za pół godziny powinien być obiad – sama nie wiem, dlaczego mu to zaproponowałam. Nic a nic na to nie zasłużył.



Gdyby nie to, że facet stojący przede mną wyglądał zupełnie jak mój mąż, pomyślałabym, że stoi przede mną zupełnie inny człowiek. I był inny. Znacznie schudł i nie był to wynik uprawiania sportu. Zapadły mu się policzki i znacznie zmniejszył się mięsień piwny. Oczy mu zszarzały i straciły dawny blask. Zupełnie tak jak moje... Nieogolony, w wymiętej koszuli, wyglądał jak porzucone dziecko. I kto by pomyślał, że to on porzucił mnie? Za sprawą wielu tak zwanych zbiegów okoliczności (ja nie wierzę w zbiegi okoliczności – ja wierzę w przeznaczenie) odkurzyłam się nieco, wystarczyło kilka razy dobrze przetrzeć szmatką i znowu nauczyłam się śmiać.

Przeznaczenie: oznacza to, że nasze życie spoczywa w rękach losu. I wszystko jest z góry ustalone.

– Trojka, to znaczy, że nie mamy żadnego wpływu na nasze życie, tak? – spytała kiedyś Julia.

– Ależ mamy. Los daje nam znaki, wysyła sygnały, a my musimy je tylko prawidłowo zinterpretować.

– Trojka, może moglibyśmy spróbować naprawić nasze małżeństwo? – cichutko zapytał.

– Małżeństwo to nie zepsute żelazko czy telewizor. Nie można wymienić układu scalonego czy grzałki.

Jakoś nie wierzę w to, że człowiek może się tak szybko zmienić. Co nie znaczy, że nie wierzę w ludzi.

– Marcin, straciłam do ciebie zaufanie. I nie wiem, czy kiedykolwiek je odzyskasz. Jedz kluski, bo stygną.

– Daj mi szansę, proszę.

– Dzisiaj mogę dać ci jedynie następną kluskę.

Przysunął się do mnie i objął mnie. Wtulił głowę w moje włosy i zaczął je całować.

Potem delikatnie odgarnął mi włosy z szyi i zaczął pieścić mój kark.

Tak jak wtedy, gdy ze sobą chodziliśmy. I tak jak wtedy poczułam wstrząsający moim ciałem dreszcz. Nie, nie, nie, tylko nie to. Nie

wolno mi się rozklejać. W żadnym razie. Najpierw mnie oszukuje przez tyle lat, zatajając przede mną interesy firmy, potem zadaje się z przydrożną prostytutką, wyprowadza się z domu, a teraz chce wrócić z podkulonym ogonem i może jakąś chorobą weneryczną. O, nie! Co to, to nie! Ale, z drugiej strony, jego ręka tak przyjemnie przesuwiała się po moich piersiach, najwyraźniej mając ochotę zsunąć się jeszcze niżej.

Oj! Nisko... Niżej... Najniżej... Wiem, że nie powinnam mu na to pozwolić. Ale w końcu to mój mąż. Ale całuje mnie i dotyka zupełnie nie jak mój mąż.

– Trojka, kocham cię – wyszeptał mi do ucha, zanim mnie zniewolił.

Oj! Dlaczego mnie tak nie zniewalał przez 15 lat małżeństwa? Cudowne zniewolenie. Pierwszy raz zakończone pełnym sukcesem. O rany! Reszta klusek się wygotuje! A tam, niech się wygotują!

* * *

Z Klementynką mieszka nam się naprawdę świetnie. Z Julią się zaprzyjaźniłyśmy i chadzamy razem do kina, gdzie już tylko od czasu do czasu oblewam ją jakimś sosem.

Cały czas dojrzewam do nawiązania bliższych stosunków z moją szefową, bo ona już dawno do tego dojrzała. Na szczęście nie ma to absolutnie wpływu na nasze relacje służbowe, w przeciwieństwie do tego, jak to wygląda w sytuacji klasycznej: kobieta – mężczyzna – podwładna – przełożony. Weronika i Karina koniecznie chcą poznać Julię i być może w końcu to nastąpi. Nie żebym była zazdrosna, chociaż po Karinie można się wszystkiego spodziewać.

Po incydencie z kluskami zwołałam walne zgromadzenie, do w udziału w którym zaprosiłyśmy moją nieletnią siostrzenicę, celem rozpoczęcia demoralizacji. Jednakowoż okazało się, że ona jest zdemoralizowana w stopniu wyższym niż my trzy razem

wzięte, choć nadal pozostaje dziewicą. Jaka szkoda, że my przeciwnie. Uff. Kamień spadł mi z serca.

Troszkę się zmartwiłam, że czeka mnie trudne zadanie wyedukowania seksualnego dziewczęcia, ale jak się okazało, moja zapobiegawcza siostra uczyniła to już dosyć dawno temu i panienka doskonale wiedziała, że dzieci nie rosną w kapuście.

A ponieważ Klementynka wkroczyła rok temu w trudny okres dojrzewania, na bieżąco wzbogacała swoją wiedzę z tego zakresu. Ową wiedzę czerpała z niezliczonej ilości książek, które, ku mojej ogromnej radości, pochłaniała pasjami, oraz z Internetu. Na samym końcu zaś, i całe szczęście, czerpała ją z ust koleżanek i kolegów.

Wizyta mojego męża, związana ściśle z kluskami na śliwkach, miała charakter incydentalny, i mimo że przez 15 lat trwania naszego małżeństwa nigdy nie było mi tak przyjemnie, postanowiłam nie nadawać temu wydarzeniu szczególnie dużego znaczenia. Zbyt dobrze jeszcze pamiętałam mojego męża z okresu, gdy był z Micią, chociaż, prawdę mówiąc, epizod z tirówką miał tutaj najmniejsze znaczenie.

Podczas okresu „porzucenia” zdałam sobie sprawę z wielu rzeczy, między innymi i z tej, że uwielbiam samotność (teraz zmąciła mi ją Klementynka, ale to akurat dobrze), doskonale czuję się w mojej nowej skórce, świetnie idzie mi w pracy, a co najważniejsze, uświadomiłam sobie, patrząc na mój klon, że jestem nawet ładna. Nie zamierzam toczyć boju na śmierć i życie o prawo do orgazmu, lecz mogę ewentualnie zawalczyć o prawo do szczęścia. Uczę się tych mądrości od Klementynki właśnie, która wygłosiwszy podczas naszego babskiego wieczoru poniższą kwestię, została naszym Bogiem:

– Doprawdy, nie rozumiem, dlaczego dzisiejsze kobiety tak zachłystują się tym orgazmem. Jest on dla nich ważniejszy niż szczęście. A od czegoż Pan Bóg obdarował nas dwiema zdrowymi rękoma? – zakończyła swój niedługi, ale jakże treściwy wywód

pytaniem.

– Klementynko, abyś mogła pojąć tę nie do końca rozwiązana tajemnicę, poczekamy, aż sama się zachłyśniesz orgazmem. Wtedy zrozumiesz, że dwie zdrowe ręce to wciąż za mało w porównaniu z jednym, porządnym, prawidłowo ukrwionym, twardym...

I tu musiałam zatkać ręką usta Karinie, aby dziecko nie uległo zbyt szybko demoralizacji nieodwracalnej. Zamierzałam właśnie zabić Karinę korkociągiem, gdy usłyszałam głosik Klementynki:

– ...penisem. W porównaniu z jednym porządnym, prawidłowo ukrwionym, twardym penisem. To chciała powiedzieć ciocia Karina, tak? Ja może i nawet potrafię sobie to wyobrazić, mogę też zrozumieć, ale nadal się nie zgadzam.

– Zgodzisz się za jakiś czas. Gwarantuję – powiedziała Weronika.

– A jak się nie zgodzisz, to będzie oznaczało tylko jedno...

– Że jestem lesbijką? – przerwała jej Klementynka, a nam ręce opadły.

Wkrótce zaczniemy się czerwienić przy Klementynie. Chyba trzeba trochę się podciągnąć z zakresu wiedzy o społeczeństwie. Za każdym razem, kiedy moja siostrzenica wygłasza takie mowy, biegnę do pokoju i wyciągam z jej plecaka legitymację szkolną. Upewniam się że ona ma 12 lat. Tylko 12, a mądrzejsza jest ode mnie.

* * *

Jarek i ja bardzo się kochamy. Jesteśmy razem rok. Długo zastanawialiśmy się, czy jesteśmy gotowi rozpocząć współżycie. Wstydziłam się pójść do ginekologa po pigułki, więc kupiliśmy w aptece prezervatywy. Kilka tygodni temu wreszcie przeżyliśmy ten nasz pierwszy raz. Troszeczkę się bałam i w ogóle, ale było naprawdę cudownie. Od tamtej pory chyba jeszcze bardziej się kochamy. Ale nie wszystko jest między nami w porządku. Myślałam, że teraz często będziemy się kochać, ale Jarek tylko kilka razy miał ochotę. Naczytałam się, że chłopaki wciąż chcą seksu, ale on nie! Kiedyś nawet zapytałam, czy jeszcze mnie kocha. Powiedział, że tak i dla niego seks nie jest najważniejszy. Czulałam, że wtedy



sprawiłam mu przykrość. Boję się, czy on nie jest impotentem?

Ewa

Ewo, bez obaw, Twój chłopak na pewno nie jest impotentem. Najogólniej mówiąc, impotencja to całkowita niezdolność mężczyzny do odbycia stosunku płciowego, a przecież Ty i Twój Jarek kochaliście się już kilka razy. Myślę po prostu, że Twój chłopak ma mniejszy temperament niż oczekiwałaś. Na podstawie lektur wyrobiłaś sobie opinie, że wszyscy chłopcy to seksmaszyny, a to nieprawda. Każdy z nas jest inny i w związku z tym ma inne potrzeby i oczekiwania. Prawdę mówiąc, znam wiele dziewcząt, które zazdrościłyby Ci Jarka – zazwyczaj zdarza się tak, że chłopcom chodzi tylko o seks. Myślę, że nie powinnaś się tak bardzo przejmować. Jarek mówi, że Cię kocha i że seks nie jest dla niego najważniejszy – to powód do radości, a nie do żmartwienia. Z czasem Wasze życie seksualne stanie się bardziej harmonijne. Na ogół trzeba trochę czasu, aby się zgrać, także i w tej sferze.

Troja

Zakochałam się w moim przyjacielu i powiedziałam mu, co czuję. A on natychmiast poprosił o chodzenie moją przyjaciółką. Co mam zrobić, żeby mnie poprosił o to samo?

Aga

W chłopcach tkwi potrzeba zdobywania dziewczyn. Podobają im się dziewczyny, przy których trzeba się porządnie wykazać. Zupełnie niepotrzebnie powiedziałaś mu o swoich uczuciach. Mało który chłopiec, zwłaszcza w Twoim wieku, potrafi docenić taką otwartość. Teraz najlepiej wszystko obrócić w żart i nie wracać do tego tematu. Zachowuj się tak, jakbyś nie mogła opędzić się od wielbicieli i nie daj się zaprosić do towarzystwa (tego chłopaka i Twojej przyjaciółki na trzeciego).

Troja

* * *

– Ciociu, wzywają ciocię do szkoły – przywitała mnie tak oto Klementyna.

- Powiesz, co zrobiłaś, czy mam cię przesłuchać? – przedstawiłam jej różne opcje.
- Wiesz ciociu, sprawa jest prosta, choć dość skomplikowana.
- Aha... Prosta, choć dość skomplikowana. Brunet, ale blondyn. Wysoki, ale dość niski. Łysy, ale owłosiony.
- Ciociu. Ja nawet nie wiem, czy jest sens, żeby ciocia tam szła, skoro ja więcej nie zamierzam iść.
- Dziecko, czy tobie coś na głowę nie spadło po drodze do domu?
- Niech się ciocia lepiej zapyta jej, czy jej nic nie spadło. Obawiam się, że kiedyś rusztowanie ją przygniotło, stąd te zmiany.
- Gdzie zmiany?
- W mózgu. Nieodwracalne – rzeczowo ujęła problem Klementyna.
- Rany Boskie, jak cię ta matka wychowała? Klementynko, nie można tak mówić o nauczycielach. Za moich czasów, gdybym odważyła się wyrazić własne zdanie, przeciwne do zdania nauczyciela, miałabym przerąbane.
- Ciociu, ale to było w ubiegłym stuleciu. Czasy się zmieniają. Trzeba iść z duchem czasu.
- I obrażać wszystkich jak leci, tak?
- A ona mogła mnie obrazić?
- O co poszło?
- O pracę domową. Dostałam jedynekę.
- Widocznie zawałiłaś sprawę – zawyrokowałam.
- Zapytałam, dlaczego dostałam jedynekę. A szanowna pani powiedziała, że dlatego iż praca jest niesamodzielna.
- Twoja? Niesamodzielna? A niby kto miał ci ją napisać?
- Zapytałam ją dokładnie o to samo. Powiedziała, żebym nie pyskowała. I napisała jeszcze raz. I że jestem rozpuszczona, niewychowana i się wymądrzam.
- Kurczę, popatrz, a mówią, że wy w tych prywatnych szkołach macie luz.
- Bo to prawda. Ale nawet w prywatnej szkole się mogą wkurzyć, jak przyjeżdża straż pożarna.

- Straż pożarna? Palilo się coś?
- Właśnie do tego zmierzam. Kiedy ona mi powiedziała, że praca jest niesamodzielna i miała w nosie moje wyjaśnienia (że niby kto miał napisać – tata, który siedzi na platformie wiertniczej w Iraku, mama leżąca w klinice SPA czy nie zrównoważona emocjonalnie ciocia?), to poprosiłam ją o moją teczkę z pracami. Wie ciocia, każdy z nas ma segregatory, w których przechowuje się wszystkie prace. I ona dała mi tę teczkę, powiedziawszy przedtem, że na pewno ściągnęłam wypracowanie z Internetu i że ona to sprawdzi. No to ją lojalnie uprzedziłam, że daremnie się będzie trudziła, przybędzie jej zmarszczek, a koła pod oczami osiągną rozmiary spodków od filiżanek. Już to jej się nie spodobało.
- Usiadłam sobie z moją teczką na końcu klasy i najpierw wszystko bardzo dokładnie podarłam, a następnie usiłowałam podpalić za pomocą zapalniczki.
- Uruchomiły się zraszacze przeciwpożarowe, alarm oczywiście też i przyjechała jednostka straży pożarnej. I pogotowie ratunkowe – dodała od niechcienia Klementyna.
- Klementynko, a pogotowie po co? – czułam się coraz słabiej, krew mi z mózgu odchodziła.
- Bo ta od polskiego choruje na nadciśnienie. I jej skoczyło. Czerwona się zrobiła i padła na podłogę koło biurka. Ona ma znaczną nadwagę, co przy nadciśnieniu nie jest dobre. Próbowaliśmy ją podnieść i docucić, ale ciężko było, zwłaszcza że z sufitu cały czas lała się woda. Potem wpadli strażacy z węzem i... Jednym słowem, straty oszacowano na jakieś 15 tysięcy, nie licząc dwóch komputerów.
- A co z polonistką? Żyje? – czułam, że i mnie rośnie ciśnienie.
- Żyje. Nic jej się nie stało. Trochę pohisteryzowała i już.
- A twoje prace?
- Spłonęły żywcem.
- I co teraz zrobisz?
- Nic. Mam wszystko w plikach w moim laptopie.

- To ty masz laptopa? – umrę, za chwilę umrę. Co mnie to w ogóle obchodzi? – Klementynko, to kiedy mam iść do tej szkoły?
- Najlepiej nigdy. Zresztą, raczej nie ma po co. Powiedziałam, że się wypisuję, skoro w tak obrzydliwy sposób nauczyciel okazuje mi brak zaufania.
- Boże, komu to powiedziałaś?
- Dyrektorowi. I to on kazał ci przyjść. Na twoim miejscu bym nie szła.
- A ja, na twoim miejscu, troszkę bym spasowała.
- Wiem, ciociu, że czasami należy się lekko ugiąć, dla tak zwanego dobra sprawy. Ale są sytuacje, kiedy nie wolno się ugiąć. Kiedy trzeba bronić swoich racji. I to była właśnie taka sytuacja. Co na obiad? Padam z nóg. Za dużo wrażeń jak na jeden dzień.
- Pomidorowa z ryżem. Odgrzać ci?
- A nie ma ciocia makaronu sojowego przypadkiem?
- Zostałaś wegetarianką? – zaniepokoiłam się.
- W zasadzie nie, ale się nad tym zastanawiam.
- Błagam cię, nie rób mi tego. Nie znoszę soi, kielków i tym podobnych wynalazków, a na rybę mam uczulenie. Chcesz mnie skazać na roślinki?
- E tam, ciociu, bez paniki. Miałabym kazać cioci jeść zieleninę? Żeby ciocia wykorkowała? Przecież ciocia taka chuda, że aż strach mocniej ścisnąć.
- Chuda? Ja? A te waleczki tłuszczu?
- Waleczki tłuszczu to ciocia ma najwyżej w mózgu – grzecznie odpowiedziało nastoletnie dziecko swojej ciotce i wtrąbiło dwa talerze pomidorówki, nic a nic nie dbając o linię.

I pomyśleć, że jeszcze nie tak dawno były takie momenty w moim życiu, gdy nudziłam się obrzydliwie. Teraz krążę pomiędzy redakcją a szkołą Klementyny, między szkołą Klementyny a domem, między domem a moją uczelnią, po drodze robiąc zakupy. Oczywiście w locie gotuję obiady, na szczęście moja siostrzenica nie postanowiła zostać wegetarianką, ale nadal nad

tym myśli. Jednak ma problem, gdyż po mnie odziedziczyła, oprócz urody, jak ona twierdzi, alergię na rybki. Ha! Jak dobrze. Chociaż może i trochę źle. Przecież ryby są takie zdrowe. W każdym razie cieszę się, że nie muszę spożywać pasztecików sojowych, makaronów sojowych, parówek sojowych i wszystkich innych produktów z działu „Zdrowa żywność”, które, mimo mojej dobrej woli, smakują jak papier.

* * *

Odkąd mieszka u mnie Klemcia (nienawidzi, jak tak do niej mówię), znacznie się wyluzowałam i nabrałam, hm, jak by tu najdelikatniej to ująć, lekko olewatorskiego podejścia do życia. Z pewnymi wyjątkami. Uczę się pilnie do egzaminów i tym głównie się wyróżniam spośród moich kolegów i koleżanek z roku. O tym, że wyróżniam się wiekiem, już mówiłam. Mój zapał do wiedzy docenił ostatnio profesor od mikroekonomii, stawiając mi czwórkę, choć liczyłam na więcej. Trzy noce i trzy dni zgłębiałam tajniki mikroekonomii i nawet przyszedł taki moment, że ją polubiłam. Na egzaminie (pisemnym) przedyktowałam wszystkie odpowiedzi wraz z wykresami nieukom z trzech rzędów z przodu i dwóch z tyłu, oraz tym po bokach. Następnie wszyscy wyznawali mi miłość, co niektórzy padali na kolana, na moje wyraźne żądanie. Inni całowali mnie po rękach.

Jakubowi rozkazałam nosić przez wszystkie zajęcia segregatory i książki. On się wcale nie uczy, ale za to do perfekcji opanował trudną sztukę ściągania. Żeby było śmieszniej, on dostał z tego przedyktowanego egzaminu piątkę. A ja tylko cztery. To się nazywa seksizm. Stałam przed tablicą z wynikami i oczom nie wierzyłam. Trudno. Kiedyś mi się odwdzięczy. Jeszcze nie wiem jak, ale się zastanowię. Spotkałam go w bufecie.

– Hej, Kuba! Jak tam twoja wiedza z geografii politycznej?

– Daj spokój, nawet nie mam ściąg!



– O, kochany! To masz przerąbane – nie zamierzałam się litować.
– Troja, a może byś mi dała swoje? – bezczelność Kuby nie znała granic. – Ty i tak wszystko umiesz, a poza tym nie umiesz ściągać.
– Kuba, ja cię kiedyś uduszę. Dobra, masz, ale usiądź za mną. Bo wyobraź sobie, że nie umiem.

Na egzaminie nas zmasakrowano. Dzięki Bogu, dałam Kubie moje ściagi i tylko mojej dobroci serca oraz genialnej metodzie ściągania Kuby zawdzięczam czwórkę z egzaminu. 66 pał i 24 osoby nieobecne. 15 osób oddało kartki po przeczytaniu pytań. Puste.

– Kuba – złapałam go na korytarzu. – Nie widziałeś Kamili?

– Kamila, Kamila. Która to? – wyteżał pamięć naczelnny Leser roku.

– To taka laska z dużym biustem, z wkleśłym tyłkiem, długimi doczepianymi włosami i wydętymi ustami – po takim opisie nie mógł się nie domyślić, o kogo chodzi.

– Aaaa, to tobie chodzi o Algidę – najwyraźniej zrozumiał.

– O jaką Algidę? – teraz ja nic nie rozumiałam.

– Wysoka, długie blond włosy, doczepiane, duże płuca, brak tyłka, usta Pamela Anderson i rozum zresztą też, tak? – upewnił się, uzupełniwszy lekko opis.

– Zgadza się. Ale ona jest Kamila.

– Może i Kamila, ale chodzi jako Algida.

– Co to znaczy chodzi?

– Oj, Troja, ty naprawdę czasami nie jarzysz fali – zmartwił się moim niejarzeniem Kuba. – Ona jest Algida i już.

– Algida? Ładnie. A dlaczego tak? Bo bardzo lubi lody? – spytałam przytomnie.

– Bardzo. Uwielbia.

– I co w tym złego? Ja też lubię, czekoladowe, i co?

– Trojka, ty lepiej tego głośno nie mów, zwłaszcza w bufecie, bo zanim wejdziesz na trzecie piętro, wszyscy będą wiedzieli, że lubisz lody, a co gorsza, czekoladowe. Nie ma nic gorszego od braku patriotyzmu.

– Walnięty jesteś, wiesz? Muszę jadać tylko polskie lody? I co masz

przeciw czekoladowym?

– Troja, wybacz, że zapytam, ale jaki jest twój iloraz inteligencji?

– Nie wiem. Nie robiłam sobie testu ze strachu. Że będę dużo poniżej normy.

– Może i słusznie. Skup się: ona jest Algida. Bo robi więcej lodów niż Algida.

Nie wiedzieć czemu powiedział mi to do ucha, ale to dość głośno i wyraźnie akcentując każdy wyraz.

Jeny, jaka jestem zacofana. Tak się skompromitować w oczach 15 lat młodszego kolegi. Zrozumiałam oczywiście po długim tłumaczeniu.

Wieczorem, przy pałaszowaniu miski popcornu, mówię do Klemci:

– Kochanie, obawiam się, że będziesz musiała pójść ze mną do szkoły.

– Ojej, a co ciocia przeskrobała?

– Ja? Nic. No co ty? Jutro po prostu mam zajęcia i nie mogę zostawić cię na cały dzień samą w domu.

– No wie ciocia? A co ja, małe dziecko jestem? – oburzyła się Klemcia.

– Jesteś średnie dziecko, fizycznie rzecz biorąc, bo psychicznie momentami jesteś dojrzała ode mnie – przyznałam szczerze (to przez to wino). – Ale nadal uważam, że nie powinnaś zostawać sama.

– A co ja niby miałabym z ciocią tam robić?

– Posiedzisz, posłuchasz, może się czegoś nauczysz...

– Może? To ciocia nie jest pewna? To po co ciocia tam chodzi?

– Nie łap mnie za słowa. Chodzi o to, że nie wszystko może cię zainteresować. Poznasz moich znajomych.

– Fajni są?

– No. Trochę podobni do twoich kolegów. Kompletnie się nie uczą. A niektóre koleżanki też są różowe.

– A kogo ciocia lubi najbardziej?

- Najbardziej to nie wiem. Ale wiem, kogo lubię najmniej.
- Ciocia strzela. Dolać cioci wina?
- Dolej, dziecko – powiedziałam nieopatrznie. – Chwileczkę! A skąd wiesz, że piję wino?
- Piłam po kryjomu, żeby jej tak do końca nie demoralizować. Wychodziłam do łazienki i jak stary alkoholik trzymałam butelkę w pralce.
- Ja wiem wszystko, ciociu. Po co ciocia ma chodzić ciągle do łazienki? Przyniosę tutaj.
- Taka jesteś mądra? To powiedz mi, co to jest trójmian kwadratowy.
- Ciocia mnie nie obraża.
- Ha! Więc nie wiesz! – wykrzyknęłam triumfalnie.
- Trójmian kwadratowy jest to wyrażenie postaci ax^2+bx+c , gdzie a jest różne od zera.
- W którym roku była bitwa pod Legnicą?
- 1241.
- Kto napisał „Lalkę”?
- Bolesław Prus, naprawdę nazywał się Aleksander Głowacki. Ciocia wie, że „Lalka” jest w spisie lektur licealnych?
- Jaki symbol ma wapń?
- Ca.
- Wodór?
- H.
- Rtęć – myślę sobie, tu ją zagnę. Sama nie wiem.
- Hg. Ciociu, ciocia da coś trudniejszego, bo tablicę Mendelejewa opanowałam w drugiej klasie.
- Wymień wszystkie planety we właściwej kolejności.
- Merkury, Wenus, Ziemia, Mars, Jowisz, Saturn, Uran, Neptun, Pluton.
- Kto odkrył penicylinę?
- Fleming.
- Poddaję się – przyznałam się do porażki. – Przynies to wino

z pralki.

– Wino w pralce się skończyło, bo to była reszta tylko, z waszej ostatniej libacji. Ciocia Karina i Weronika zostawiły cioci troszkę na dnie, na kaca. Ale ciocia kaca nie miała, więc zostało na czarną godzinę.

– Która właśnie wybiła. Nie wiesz, gdzie może być jeszcze jakaś resztką?

– Nie ma. Ale zrobię cioci drinka. Mama mnie nauczyła.

– Drinka, powiadasz? A jak się nazywa?

– Seks na plaży. Umiem też zrobić Orgazm.

– Klementyna! Uspokój się. Jesteś zdemoralizowana do szpiku kości.

– Myli ciocia demoralizację z nazywaniem rzeczy po imieniu. Dulszczyzna to zaraz po faszyzmie i nadgorliwości najgorsza rzecz pod słońcem. No co, mówię prawdę. Kiedyś mama zabrała mnie do restauracji, byli też z nami jacyś jej znajomi, całkiem powaleni. Lepiej niż ciocia. Chociaż ciocia to nawet nie jest tak bardzo powalona, ale to się zmieni. I kelner przyniósł kartę alkoholi. Mama skupiła się na stronie z drinkami. A koleżanka mamy spytała kelnera, czy może nam polecić specjalność barmana.

Barman przyszedł i im polecił.

– Witam panie. Z przyjemnością polecam paniom Orgazm lub Seks na plaży.

Słowo daje, tak powiedział.

Nie wytrzymałam i spytałam, czy daje na ten orgazm jakąś gwarancję. Powiedział, że pełną. Ale się przechwalał na pewno. W każdym razie mamie tak ten Orgazm zasmakował, że poszła i przekupiła barmana, żeby dał jej przepis. Czuje ciocia? Poprosiła go o przepis na Orgazm.

– A jak ten drink wyglądał? – postanowiłam zapomnieć chwilowo, ile lat ma Klementyna.

– Cóż... i tu przechodzimy do meritum. Drink wyglądał ni mniej, ni więcej tak, jakby facet zrobił to do szklani i nie trafił – powiedziała

Klementyna i uciekła do swojego pokoju, zastawiając drzwi komoda.

– Klementyna, otwieraj natychmiast!

– Sama ciocia chciała!

– Jezus Maria, jak się ktoś dowie, jakie my prowadzimy rozmowy, to mi ciebie zabiorą!

– Spox, ciocia. Jeśli mamie do tej pory nie zabrali praw rodzicielskich, znaczy, że nie jest źle.

– Klementynko, wyjdź. I zrób mi tego drinka.

– To niech ciocia to powie.

– Co mam znowu powiedzieć?

– Niech ciocia powie: poproszę Orgazm.

– Dobra. Niech ci będzie. Poproszę Orgazm.

– Robi się, złociutka! Orgazm raz, dla tej pani! – powiedziało dziecię i sporządziło drinka.

Już prawie zasypiałyśmy, gdy postanowiłam o coś spytać Klementynkę.

– Słuchaj, zadam ci jeszcze jedno pytanie, a potem zakończymy rozmowy na tego typu tematy, dobra?

– Dobra – zgodziła się senna już nielata.

– Wiesz może, dlaczego mojej koleżance z roku chłopcy nadali ksywę Algida?

– Pewnie, że wiem. Ale za mało ciocia wina wypila, żebym mogła powiedzieć, nie narażając się cioci za bardzo.

– Mów. Nic ci nie zrobię. Ale powiedz delikatnie.

– Podejrzewam, że cioci koleżanka, o jakże wdzięcznej ksywie, ma dość oryginalne upodobania, zbliżone do czynności ludzaco podobnej do spożywania lodów, z tą różnicą, że to nie są tak do końca lody i ona ich też tak do końca nie spożywa...

– Klemcia, miało być delikatnie!

– A nie jest? Ciociu, a ciocia myśli, że u nas w szkole to się co innego słyszy?

– Ty tego lepiej nie słuchaj. Ty się ucz do „Milionerów”. Ty jesteś

żyła złota.

Chciałam coś jeszcze jej powiedzieć, ale usłyszałam dwa chrapnięcia i żyła złota, specjalistka od Orgazmów i Seksu na plaży, odpłynęła spokojnie w ramionach Morfeusza.

* * *

Praca, znowu praca. Praktycznie bez przerwy. Zupełnie, jakby nastolatki uparły się, by mi wypełnić sobą życie. Czasami niektóre z listów zawierają poważne problemy, ale jeszcze sobie radzę. Większość pierwszych zarobionych pieniędzy wydałam na specjalistyczne książki, no i na wymianę zamków w drzwiach.

Pierwszą miesiączkę miałam sześć miesięcy temu. Do tej pory dostawałam ją dość regularnie, ale teraz się spóźnia już kilkanaście dni. Jeszcze nie współżyłam z chłopakiem, ale czytałam, że dziewczyna może zająć w ciążę bez pomocy chłopaka. Bardzo się martwię i nie wiem, co powinnam zrobić.

Roma

Zająć w ciążę można tylko wtedy, gdy dojdzie do spotkania komórek rozrodczych kobiety i mężczyzny, czyli jaja z plemnikiem. Skoro nie współżyłaś z chłopakiem, nie mogło dojść do zapłodnienia. Zupełnie niepotrzebnie się zamartwiasz. Przez pierwsze trzy lata miesiączki bywają nieregularne i nie wymaga to leczenia. O nic się nie martw – wkrótce na pewno dostaniesz okres.

Troja

Nieraz zdarza mi się wyobrażać sobie seks z chłopakami, których nie znam. Na dodatek sceny te są naprawdę bardzo ostre. Mam zaledwie 14 lat i bardzo mnie te fantazje martwią. Nie umiem się od nich uwolnić. To jest silniejsze ode mnie. Poza tym, jak próbuję nie fantazjować, to zaczynają mi się śnić. Czy jestem zboczona? Jak walczyć z erotycznymi marzeniami?

Aneta



Nie walcz, dziecko, nie walcz! Zamień się ze mną swoją erotyczną fantazją, bo ja dla odmiany nie mam jej prawie wcale.

W okresie dorastania nawet dość zaskakujące i dziwaczne fantazje seksualne pojawiają się pod postacią marzeń sennych i na jawie. Nie ma w tym nic nienormalnego. Dojrzevasz, a w Twoim organizmie szaleje burza hormonów. To one są odpowiedzialne za fantazje. Mogą być ostre, jeśli nałożyły się na nie sceny zapamiętane na przykład z filmów erotycznych. Nie wysnuwaj zbyt pochopnych wniosków i nie czuj się winna za treść tych snów. Pamiętaj, że nic z nich nie wynika. Nie oznaczają one Twoich prawdziwych potrzeb ani gotowości na seks. I raczej zastanów się poważnie, zanim zwierzysz się ze swych fantazji przyjaciółce. Możesz narazić się na szykany, ośmieszenie, a przez najbliższych możesz być uznana za osobę z zaburzeniami seksualnymi. Jeśli masz nieprzewartą chęć podzielenia się z kimś swoimi fantazjami, zapisz je w blogu lub weź udział w spotkaniach tzw. grup śniących. Nie koncentruj się na swoich marzeniach ani nie walcz z nimi. Spróbuj spojrzeć na nie jak na film, który właściwie Cię nie interesuje, choć jest kilka wciągających scen. Po jakimś czasie fantazje przestaną cię męczyć.

Troja

Podejrzewam, że moja koleżanka z równoległej klasy jest lesbijką. Zupełnie nie wiem, jak mam ją traktować... Czuję do niej obrzydzenie. Zawsze myślałam, że jestem tolerancyjna. Chyba się pomyliłam.

Monika

Pięknie. To chyba coś o mnie. I jak ja mam zachować obiektywizm?

TOLERANCJA to zgoda na to, że świat jest różnorodny i nie zawsze taki, jak sobie go wyobrażasz. Nie polega na zmuszaniu się do czegoś wbrew sobie. Jeśli Twoja koleżanka budzi w Tobie niechęć, nie musisz się z nią przyjaźnić. Natomiast w żadnym wypadku nie wolno Ci okazywać jej swych negatywnych uczuć ani krzywdzić w żaden inny sposób. Nie przezywaj jej, nie plotkuj o niej. Pamiętaj, że preferencje seksualne koleżanki są jej prywatną sprawą.

Troja



Delikatnie. Za delikatnie. Nie wiem, czy podziła.

W mojej klasie jest pewien chłopak, który mi się bardzo podoba. Niestety, ma dziewczynę. Czy zachowałabym się nie fair, gdybym odbiła koleżance chłopaka? Gdy widzę, jak ze sobą rozmawiają na przerwach, to jestem zazdrosna. Gdy jednak go podrywam, wiem, że on ma potem nieprzyjemności ze strony swojej dziewczyny. Może lepiej dać sobie z nim spokój? Zapomniałam jeszcze wspomnieć, że mieszkamy obok siebie, często się widzimy, nasi rodzice się znają, a my mamy wiele wspólnych wspomnień.

Marta

Czyżby rosła Miećkopodobna? Mam nadzieję, że nie...

Stanowczo odradzam. To nie jest dobry pomysł. Wyobraź sobie, jak Ty byś się czuła, gdyby koleżanka odbiła Ci chłopaka? Nie zawsze w życiu udaje nam się osiągnąć swój cel, ale nie znaczy to, że mamy go osiągać za wszelką cenę, nie licząc się z uczuciami innych ludzi. Jestem pewna, że jeśli się tylko dobrze rozejrzysz, zauważysz w swoim otoczeniu wielu równie przystojnych chłopców. A do tego całkiem wolnych. Jak mawiała moja babcia: „Tego kwiatu jest pół świata”.

Powodzenia.

Troja

Mam dziewczynę, którą bardzo kocham. Ona sama wyznała mi, że jest jej ze mną bardzo dobrze, bo ma pewność, że w każdej sytuacji zrobię dla niej wszystko, co będę mógł. Jednak ostatnio robi mi wymówki, że w tym związku ona czuje się zbyt „bierna”, nie musi o mnie zabiegać, bo wie, że zawsze będę przy niej. Nie wiemy, jak to zmienić. Staratem się coś zrobić, ale mi nie wychodziło. Zaczęły się kłótnie i nieporozumienia.

Jacek

Cóż. Karina by pewnie powiedziała, że się dziewczuszcze we łbie przewracało.

Jest takie powiedzenie, że nawet kota można zagłaskać na śmierć. Dziewczyna najpewniej czuje się osaczona Twoim uczuciem, a to nie rokuje dobrze dla Waszego związku. Czasami powinieś dać jej odpocząć od siebie. Postaraj się spędzać więcej czasu z rodziną, kolegami. Twoja dziewczyna powinna troszkę za Tobą potęsknić. Pamiętaj, że to, co trzeba zdobywać, zawsze smakuje lepiej, niż to, co podano nam na tacy.

Troja

* * *

Zostałam oddelegowana przez moją rodzinę jako najmłodsza i najbardziej odporna do pójścia z moim dziadkiem na mały zabieg chirurgiczny.

Ja jedyna nie mdleję na widok krwi, a rodzina podejrzewała, i słusznie, że krew się będzie lała. Najpierw lekarz spóźnił się pół godziny, a w międzyczasie dziadek zdażył sześć razy odwiedzić toaletę, bo mu nerwy puściły. Strach go obleciał, mimo że dziadek był w młodości dzielnicowym. Który dzielnicowy nie straci odwagi, mając przed sobą perspektywę zdejmowania paznokcia z dużego palca u nogi? Ja, na samą myśl, nie jadłam kolacji i śniadania.

Dziadek zakręcony od oxazepanu, apapu i innych prochów, oprócz rozwolnienia, nie miał żadnych innych objawów strachu. Ludzie w kolejce trochę marudzili, że weszliśmy jako pierwsi, ale nie śmiali na głos przeciwstawić się decyzji pana doktora.

Pan doktor spodobał mi się już wtedy, gdy znajdował się w drugiej części korytarza, bo jak wspomniałam, spóźnił się znacznie. Kiedy dystans między nami się zmniejszył, jego akcje skoczyły. Ja, w czerni od stóp do głów (jasny miałam tylko stanik, który pięknie się prezentował pod moją przeźroczystą bluzką). Czarny prochowiec z postawionym kołnierzem, a la inspektor Crusoe, oraz okular przeciwsłoneczny na głowie, dodający inteligencji.

Doktor, dla odmiany, był cały w bieli, co tylko dodawało mu uroku przy kruczoczarnych włosach i śniadej cerze. Pan doktor uśmiechnął

się do mnie nie wiedzieć czemu i natychmiast nabral ochoty na przeprowadzenie zabiegu. Najchętniej na stole widziałby mnie, ale nic z tego. Ja mam paznokcie w porządku – czerwony lakier aż krzyczał...

– Przeleć mnie, przeleć mnie! – powiedziała Karina.

Może i tak, ale przyzwyczajona do celibatu w zakresie seksu, potrafiłam nad sobą zapanować. Doktor Wilczyński, jak informowała kartka przyklejona na drzwiach gabinetu, zajął się dziadkiem, uwodząc mnie przy tym niemiłosiernie.

Nie powiem, długo pewnie bym mu się nie opierała. Zwłaszcza gdybym wypila wino z pralki. Chirurg spokojnie zabiegował dziadka, prawie nie spuszczał oczu ze mnie.

Balam się, że przez pomyłkę, z rozpędu, amputuje dziadkowi cały palec, ale widać facet miał wprawę. Ciekawe, czy podczas operacji wycięcia wyrostka robaczkowego też by nie patrzył w jamę brzuszną, tylko w moje oczy. Dziadek leżał zboląły, a lekarz kontynuował uwodzenie:

– Ależ pan ma śliczną wnuczkę.

I oczko do mnie. I filuternie się uśmiecha.

– Ma pan takich więcej?

– Nie ma – rzucam dla zmyłki. – Ale ja mam brata – kłamię jak z nut.

– Nie dziękuję, nie jestem zainteresowany – minka mu zrzędła.

– Jak się pani czuje? – pyta mnie doktorek.

– Ja? – myślę, kurka, to nie ja mam zabieg!

– Dobrze, dziękuję, a pan? – mama mnie dobrze wychowała.

– OK. Może otworzyć okno? Na pewno pani nie zemdleje?

– Nie, ale jeśli pan nalega, mogę spróbować – zaproponowałam.

– Bardzo nalegam. Chciałbym przeprowadzić resuscytację. Sztuczne oddychanie metodą usta-usta.

Pielegniarka w tym momencie chciała mnie zabić nożyczkami. Zazdrosna żoźa czy co?

– Oczywiście, że zazdrosna – skwitowała Karina. – Zażożę się,

że cierpi na stały syndrom...

– Milcz, kobieto – przerwałam jej.

– Ty, Trojka, uważaj z tym chirurgiem. Jak on ma na imię?

– zainteresowała się Karina.

– Rafał.

– Uważaj, ty sobie zaśniesz po namiętym seksie, a Rafalek ci ciach, nerczkę! Ty wiesz, jak wysoko stają organy do transplantacji?

– ostrzegła mnie Karina. – Dziś nerczka, za tydzień płucko...

– Ty, kochana, a mózgu to ci czasem nikt nie transplutował?

– wtrąciła Weronika.

– Przestańcie, błagam. Ja się za to czuję jak po transplantacji

– musiałam się odezwać.

– Czego? – zapytały równocześnie dziewczyny.

– Serca oczywiście.

Finał wizyty jest taki, że właśnie pan doktor odwiózł mnie do domu po uroczej romantycznej kolacji, bez krwi i opatrunków, lecz za to przy świecach i szampanie. Oczywiście na górę go nie zaprosiłam, z dwóch powodów: z powodu Klementynki oraz moich wahań co do orientacji seksualnej. Mojej. Nie wiem, czy ją zmieniam, czy nie.

– Pięknie pachniesz – wyszeptał mi do ucha w szatni, podając mi przy tym płaszcz.

– Czego nie można powiedzieć o tobie. Pachniesz spirytusem salicylowym i szpitalem.

– Wiem – powiedział ze smutkiem. – Ale za kilka miesięcy nie będziesz już tego czuć. Przyzwyczaisz się.

Proszę, proszę. Pan doktor ma jakieś plany wobec mnie? Dalekosiężne, jak słyszę.

Gdy żegnałam się z nim w samochodzie, poczułam, że jednak pachnie czymś jeszcze. O ile mój nos się nie myli, to było to coś od Bucherona.

Klementynka wyglądała przez okno, więc gdy tylko weszłam do mieszkania, powiedziała:

- Ciociu, w skali od 1 do 10 daję mu 25.
 - Podglądałaś?
 - Zawsze podglądałam. Pilnuję, żeby ciocia znowu nie popełniła jakiegoś życiowego błędu.
 - Dzięki ci, dziecinko, nie wiem, co bym bez ciebie zrobiła.
 - Wdepnęłaby ciocia w wielką kupę o imieniu Daniel – skromnie wyjaśniła Klemcia. – Całe szczęście, że zjawiłam się w samą porę. Z tym facetem ciocia może się spokojnie zadawać. On jest w porządku.
 - A ty co? Jasnowidz jesteś? – zdziwiłam się.
 - Żałuję, że nie. Ja po prostu go znam. Byłam kiedyś z mamą i dziadkiem u niego. Z czystym sumieniem mogę cioci powiedzieć, że mamy nie podrywał.
 - Kamień spadł mi z serca – zakpiłam.
 - Może się ciocia z nim umówić, a mnie wysłać do kina – ukuła już spisek. – Ale dalej niech się ciocia nie zapędza, bo coś mi w nim nie leży. Jeszcze nie wiem co, ale zalecam ZOZ.
 - A co to jest ZOZ?
 - Zasada ograniczonego zaufania.
 - A dlaczego sądzisz, że miałabym ochotę się z nim umówić?
 - To widać po oczach. Ciocia już jest lekko nieprzytomna. Ale ostrzegam, to tylko tlenek azotu. Nie ma się co ekscytować. I należy pamiętać, że wtedy nie jesteśmy do końca sobą.
 - Skąd ty to wiesz?
 - Z książek.
 - Muszę ci zmienić spis lektur, bo jesteś mądrzejsza ode mnie
 - przyznałam samokrytycznie.
 - Rozumiem, że już ciocia nic nie będzie jadła?
 - Raczej nie sądzę.
 - No to do łóżeczka i spać. Mogę dzisiaj spać z ciocią? – spytała Klemcia.
- I wślizgnęła się pod koldrę. Przytulila się tak mocno, że zmartwiłam się o moje żebra. Pomyśleć, że udaje taką dorosłą,

a potrzebuje miłości i ciepła jak malutkie dziecko. Żongluje Orgazmem i Seksem na plaży, zna prawie wszystkie ważniejsze daty na pamięć, tablicę Mendelejewa ma w małym palcu, po angielsku mówi lepiej niż ja, uważa, że faceci to szowinistyczne, małostkowe dupki i zasypia w moich ramionach ze słowami: ciociu, śpijmy „w łyżeczkę”. Ciekawe, co śni się takim dorastającym panienkom? Niestety, ja już nie pamiętam.

Głupia ta moja siostra, że wyjechała. Choć z drugiej strony, nie miałabym okazji poznać tak dobrze Klementynki.

Przebywanie z nastolatką obfituje w szereg niespodzianek i wprost nieprzewidywalnych wydarzeń.

– Dzwoniła mama? – spytałam Klementynkę po przyjściu z redakcji.

– Niestety tak – ponuro odparła Klemcia.

– Słonko, trochę szacunku dla własnej matki – postanowiłam bronić siostry.

– Nie mam odpowiednich wzorców, ciociu. Mama zakomunikowała, że ojcu przedłużyli kontrakt na kolejne pół roku, już teraz im to powiedzieli, więc zdecydowali, że zostają. Czuje ciocia? Siedzą tam dopiero dwa miesiące, a już zaplanowali moje życie na rok do przodu!

– Smutno ci, prawda?

– Wściekła jestem i tyle. Za moją mamą nie da się tęsknić. To niezdrowe uczucie. Lepiej od razu sobie wmówić, że jest się sierotą.

– Klementynka, przestań.

– Ciocia wie, jak to jest mieć kukulkę za matkę? Wciąż tylko: ku ku, ku ku i chlast mnie do innego gniazda. Jak śmierdzące jajo.

– Miałam nadzieję, że w moim gnieździe jest ci dobrze...

– To najcieplejsze gniazdko, jakie miałam. Dlaczego ty nie jesteś moją mamą? – Klementynka, choć tak dorosła, czasami była dzieckiem. – A tak w ogóle, to dlaczego ciocia nie ma dzieci?

Hm, dobre pytanie...

– Nie wiem. Może właśnie dlatego, żeby nie być matką kukulką?

– powiedziałam, ale w duchu zaczęłam analizować prawdziwe przyczyny.

Zabawne, że dopiero gdy fan Miecki wyprowadził się z domu, poczułam silny instynkt macierzyński, który najpierw objawił się niańczeniem malarza ćpuna, dziwną sympatią do osobniczek tej samej płci, a teraz kielkującym uczuciem do pana doktora. Myślę, że mogłabym mieć dziecko.

– Ciociu – wyrwała mnie z zadumy Klemcia. – Mogę od cioci pożyczyć tampony? Moje się skończyły, a nie chcę się włóczyć po nocy.

– I bardzo słusznie. Ale ja nie jestem pewna, czy ty aby na pewno możesz używać tamponów? Przecież jesteś dziewicą, mam nadzieję?

– Kolejny mit o tamponach. Mogę. One nie powodują defloracji – nauczyło mnie małe dziecko i znikło w czeluściach łazienki.

Rany Boskie! Tampony! Zupełnie zapomniałam, że należy je kupować. Jeśli zapomniałam, to nie kupowałam.

– Klementynko! – wydarłam się w stronę drzwi łazienki. – A czy ja w ogóle mam jeszcze jakieś tampony?

– Marne trzy sztuczki. Musi ciocia kupić.

Kupić! Oczywiście, ale po co? Jejku, czułam, że robi mi się bardzo, bardzo gorąco.

Uświadomiłam sobie nagle, że nie używałam ich ostatnio z bardzo prostego powodu: NIE MIAŁAM OKRESU W UBIEGŁYM MIESIĄCU!!!

Pot lał mi się ze strachu po plecach, ręce się trzęsły i daremnie usiłowałam sobie przypomnieć, kiedy ostatnio miałam miesiączkę. I dlaczego zapomniałam o tym? Dlaczego zapomniałam, że nie miałam okresu???

Ogarnia mnie schiza! Nigdy mi się to nie zdarzyło! Klementynka wyszła z łazienki i poważnie zaniepokoiła się moim stanem zdrowia.

– O kurczę, ciocia kiepsciutko wygląda. Cała krew ciociu z mózgu odpłynęła. Błada ciocia jest, lepiej niech się ciocia położy, a ja zrobię dobrej herbatki.

- Nie chcę herbatki. Zrób mi drinka – poszłam na całość.
 - Nie wiem, czy ciocia powinna pić alkohol? – zastanowiła się moja siostrzenica. – W cioci stanie? – dobiła mnie.
 - A w jakim ja niby jestem stanie? – krzyknęłam na nią zupełnie niepotrzebnie.
 - W fatalnym. Niech ciocia poprosi tego doktora o skierowanie na morfologię. Chyba cioci krwinki szaleją.
- Ta Klementynka to bardzo dobre dziecko. I mądre. Niedawno skończyła 13 lat.

* * *

- Trojka, ty sobie nie rób jaj, tylko kupuj test. A zresztą, co ja gadam – poprawiła się Karina.
 - Jaki test? Jak ty już drugi miesiąc nie masz okresu, to ty na bank jesteś w ciąży.
 - Tego właśnie potrzebowałam: pocieszenia i wsparcia – jęknęłam.
 - My nie mamy cię pocieszać, tylko szukać rozwiązania. A skąd mamy wiedzieć, czego szukać, jeśli nie chcesz zrobić testu?
 - Nie drzyj się tak, bo Klementyna usłyszy – uciszyłam Karinę.
 - Ciociu, już usłyszała, możecie przestać szeptać po kątach, spokojnie ciocia Karina może wrzeszczeć jak na tkalni. Ja się i tak wszystkiego domyślałam – krzyknęła zza drzwi Klementynka.
 - Dzięki. Teraz już mogę sobie strzelić w ten głupi łeb – z rezygnacją wyszeptałam.
 - Weroniko, skocz na dół do apteki i kup koleżance teścik – wydała dyspozycje Karina.
- Nie miałam siły, żeby zaprotestować.
Weronika przybiegła z trzema testami różnym firm.
- Co ty? Wszystkie mamy sobie robić test? – nawet się ucieszyłam.
 - Oprócz Klementynki, rzecz jasna.
 - Pomyślałam, że będzie ci różniej.

- Faktycznie. Było. Otworzyłam jeden i zaczęłam czytać.
- Ooo, dziewczyny, mamy problem – powiedziałam zawiedziona.
 - Tu jest napisane: w celu przeprowadzenia testu należy użyć kilku kropel moczu rannego.
 - Rannego? Czy porannego?
 - To samo, bez różnicy.
 - I gdzie widzisz problem? – nie rozumiała Karina.
 - Problem w tym, że jest prawie 21 i nasz mocz dawno już utracił status rannego.
 - Nie ma sprawy. Wpadniemy jutro o świcie. Tylko nas wpuść, bo inaczej się posikamy pod drzwiami i z testu nici.
 - A nie możecie w domu nasikać do kubeczka i przyjść z materiałem do badań o jakiejś ludzkiej porze?
 - Nie. Bo to nie będzie już to samo. Jak razem, to razem – protestowała Weronika.
 - Ale ja mam tylko jedną łazienkę. I tak wszystkie jednocześnie nie usiądziemy na kibelku – broniłam się przed zerwaniem mnie z łóżka o szóstej rano.
 - Nic nie szkodzi. To potrwa tylko chwilkę – nie poddawała się Weronika.
 - Chwilkę? Nie rozśmieszaj mnie – odezwała się Karina. – Ty i chwilkę? Kiedy się zlałaś w ogrodniczki, wyglądałaś tak, jak by cię ktoś oblał kubłem wody. I, o ile dobrze pamiętam, nie trwało to chwilkę, a znacznie dłużej.
- Weronika w odruchu miłości chciała skrócić Karinę o głowę za pomocą tasaka kuchennego.
- A Klementynka, sądząc po odgłosach dochodzących z pokoju, turlała się prawdopodobnie ze śmiechu po podłodze, słysząc nasze żenujące rozmowy.
- Klemcia, zlituj się nad moją podłogą – krzyknęłam błagalnie.
 - Luzik, ciocia. Na te panele jest 15 lat gwarancji – uspokoiła mnie wszystkowiedząca nastolatka.
 - Aha, i jeszcze jedno. Jak mnie wyrzucą z pracy za tą twoją

nieocenioną pomoc przy odpowiadaniu na ostatnią porcję listów, to nie wiem, co zrobimy. Będziemy chyba jeść tynk ze ściany.

– Spokojna głowa. Wtedy wezmę ciocię na utrzymanie – laskawie zaproponowała Klemcia.

Jasne. Ze złotą kartą bez limitu wydatków też byłabym taka hojna. Chociaż pamiętać należy, że całą forszą Klementynowych rodziców dysponuję ja z uwagi na niepełnoletność ich córki.

– Jak już kiedyś będę odpowiednio znieczulona alkoholem, może w przypiływie szaleństwa wypłacę zawrotną kwotę tysiąca złotych i wtedy zaszalejemy!

– Co ciocia „Kilera” nie oglądała? – spytało zza drzwi dziecię.

– A co ma piernik do wiatraka?

– Ciociu? Tysiąc złotych? I ciocia chce, żebyśmy za to zaszalały? A co my mamy sobie za to waciki kupić?

Dziewczyny przyszły o szóstej rano, co już samo w sobie było niezwykłym poświęceniem.

Po krótkiej szamotaninie przed drzwiami łazienki doszłyśmy do wniosku, że bez pomocy Klementyny najwyżej pozabijamy się, walcząc o pierwszeństwo w sikaniu, uprzednio się posikawszy oczywiście.

Klemetynka przyszła i wyznaczyła kolejność.

– Ciocia pierwsza – jako gospodyni domu oraz jako potencjalna matka.

– To czysty nepotyzm! – oburzyła się Karina.

– Żaden nepotyzm! Nie ma mowy o specjalnym traktowaniu rodziny – zaproponowała Klemcia. – Ciocia im powie, że ja nie uznaję takich metod!

– To prawda. Kiedyś spotkałyśmy się z Klemcią na poczcie, stałam w gigantycznej kolejce. 38 osób przede mną. Patrząc – Klemetynka stoi prawie przy samym okienku. Uradowałam się. Nie wpuściła mnie, bo, jak to ujęła, nie byłoby to uczciwe wobec pozostałych klientów. W związku z tym obiad zjadłyśmy w porze kolacji, bo wróciłam do domu wtedy, gdy zamknęli pocztę.

– A my to co? Nie jesteśmy potencjalnymi matkami? – zbuntowały się moje kochane koleżanki.

– Ja też jestem potencjalną matką – słusznie zauważyła Klemcia.

– A mimo to nie pcham się do kibla.

Następnie rozdała zakupione przez Weronikę kubeczki na mocz.

– Proszę bardzo, ciocia pierwsza. Po cioci Karina, a na końcu Weronika. Uważajcie, to bardzo ważne. Próbkę moczu należy „zebrać” ze środka strumienia. No i... ten... no. Zanim się panie wysusią, muszą się panie gdzieś umyć.

– Co ty powiesz, nie wpadłybyśmy na to – Karina robiła się złośliwa, nie wiem dlaczego.

– Dziewczyny, a jak ustalić, gdzie jest środek w tym strumieniu?

– o, zaczęło się.

– Siknij sobie najpierw troszkę. Potem się zatrzymaj. I siknij znowu. I się zatrzymaj. I dokończ sikanie, wiesz, idź na całość. I właśnie to, pomiędzy siknięciem troszkę, a pójściem na całość, jest środkiem strumienia. Musisz to złapać do kubeczka. Pamiętajmy, żeby nie przesadzać, bo potrzebujemy tylko kilku kropli.

– Klementynko, teraz wydaj nam rękawiczki chirurgiczne.

– Po co? Przecież uryna jest bardzo zdrowa. Niektórzy to nawet piją – ona zawsze musiała z czymś wyskoczyć.

– My wolimy wino. Dawaj te rękawiczki, bo nam pęcherze popekają.

– Kubeczki podpisane?

– Tak jest!

– To do dzieła.

Trzy minuty. Najdłuższe trzy minuty w moim życiu. Dwa poziome paseczki. Niebieski i czerwony. Czerwony czy niebieski. Siedziałyśmy wpatrzona w maleńki, plastikowy teścik, który za kilkadziesiąt sekund miał zdecydować o naszym życiu. Głównie o moim.

– Niebieski – krzyknęła zawiedziona Karina.

– Niebieski – zawtórowała jej Weronika.

– Czerwony – powiedziałam i rozplakałam się jak dziecko.



Cztery diwy siedziały w kuchni i popijały herbatkę, którą zakupiłyśmy, wracając od lekarza.

– Nie miałaś żadnych typowych objawów? Poranne mdłości, częste sikanie, nadmierna senność, nabrzmiałe piersi? – dociekała Karina.

– Żadnych – pokiwałam głową.

– Oczywiście, żadnych, oprócz podstawowego – braku okresu

– Weronika była bezlitosna.

– Błagam, nie znęcajcie się nade mną. Dobrze wiecie, że tyle się w moim życiu działo. Marcin się wyprowadził, nowa praca, Klementynka... – zaczęłam wyliczać.

– Romans z Julią, nowy facet... – uzupełniła Karina.

– No właśnie. Czas najwyższy wyjaśnić kwestię ojcostwa

– Weronika była czujna.

– Zaczniemy od Julii. Ją możemy chyba wykluczyć.

– Chyba? Z całą pewnością odpada. Całowałam się z nią tylko. Poza tym, gdyby nawet doszło do czegoś więcej, to i tak cudów nie ma.

– Myślmy dalej.

– Karina, a nad czym tu myśleć? Co ja jestem Miećka, że mam orzech do zgryzienia, kto jest ojcem, bo przespałam się z tysiącem facetów? Sprawa jest prosta.

– Artysta malarz amfetaminista? – spytała Weronika.

– Na szczęście nie on...

– Hm... No to wypada na chirurga – zgadywała dalej Weronika.

– Zwariowałaś. Jeszcze nie zdążyłam się z nim przespać. Odpada.

– No to kto, do jasnej cholery? – Karina objawiała zdenerwowanie.

– Jak to kto? – spytałam, zupełnie tak, jakby to było oczywiste.

– Marcin.

– Bój się Boga, wstydu nie masz! Sypiać z własnym mężem w trakcie rozwodu! – wrzasnęła Karina.

– Ja za wami nie nadażam. Same namawiałyście mnie, żebym okazała mu odrobinę współczucia po tym pobiciu.

– Jasne, ale odrobinę, a ty musiałaś poleżeć z nim do łóżka.

We wtorek, niespełna tydzień po tym, jak dowiedziałam się, że jestem w ciąży, odwiedził mnie Daniel amfetaminista.

– Och! Kochana moja, najdroższa! Jak się czujesz? Opowiadaj, opowiadaj mi o wszystkim natychmiast! Dlaczego mi nic nie powiedziałaś? Przybiegłem pędem do ciebie od razu, jak tylko się dowiedziałem, że będziemy mieli dziecko!

– Ach, to już mówią o tym na mieście? – zdziwiłam się uprzejmie.

– Pierniczku toruński, jak mogłaś do mnie nie zadzwonić?!

– Nie miałam powodu.

– No wiesz?! A nasze dziecko to nie jest wystarczający powód?

– Ty myślisz, że to dziecko jest twoje? – nie zamierzałam się litować.

– Oczywiście!

– A od jak dawna się nie spotykamy? – pytanie było podchwytliwe.

– Oj, nie wiem, ale chyba z jakiegoś trzy miesiące – policzył na palcach malarz.

– No właśnie. Czy na tej waszej Akademii Sztuk Pięknych nie nauczyli was liczyć? Czy może nie dotarło do ciebie, że ja jestem w ciąży dopiero od ośmiu tygodni?

– Och ty! A więc jednak miałem rację! Byłaś niewierna! – wydarł się na pół klatki schodowej.

– A ty, jeśli nadal chcesz pozostać żywy za pięć minut, to ewakuuj się stąd, bo jakaś krzywda cię spotka, jeśli mnie jeszcze raz obrazisz – zasyczałam na niego.

Poskutkowało. Na szczęście. Bo naprawdę za siebie nie ręczyłam. Chyba faktycznie o mojej ciąży mówiło już całe miasto, bo wieczorem przyszła Julia.

– Cześć, Trojka.

– Cześć, Julio.

– Słyszałam...

– A czy jest ktoś, kto jeszcze nie słyszał? – zniecierpliwiłam się.

– Nie denerwuj się. Teraz nie powinnaś. Niczego ci nie trzeba?

– spytała troskliwie.

Sama nie wiem dlaczego, ale rozplakałam się. Julia przytuliła mnie mocno i głaskała po włosach. Pierwszy raz od dnia, w którym pasek na moim teście ciążowym zrobił się czerwony, rozkleiłam się.

Plotki i wygłupy z dziewczynami to co innego, a rozmowa z Julią to też co innego. Przy niej czuję się dziwnie bezpieczna. Nie mam pojęcia, co ona w sobie ma. Może to zostało jej z czasów, gdy była jeszcze zakonnica. To ciepło, otwartość i zaufanie, jakim natychmiast się ją obdarza...

Plakałam jak dzieciak, a Julia wycierała mi rozplywający się makijaż. Szeptala do ucha, że wszystko będzie dobrze. I sama nie wiem, co by się stało, gdyby nie zadzwonił telefon.

Julia powiedziała, że mnie kocha. I jeśli chcę, to pomoże mi wychować to dziecko.

Zaproponowała, żebyśmy się przeprowadziły do jej domu z Klementynką.

Wierzę, że Klementynka by zrozumiała i nie miałaby nic przeciwko ciotce lesbijce.

Ale moje dziecko? Ta propozycja odpada. Pięknie się zaczyna. Boże kochany, co ja ma robić?

Nazajutrz przyszedł Marcin. To wieczorem powinien pojawić się Rafał.

Mój mążonek stał w progu, nie bardzo wiedząc, co ma powiedzieć. Wyręczyłam go:

– Pogłoski o mojej rzekomej ciąży to brudne insynuacje. Ewentualnie mogę przystać na niepokalane poczęcie. Jeśli nie chcesz, nie musisz uznać dziecka. Ani dać mu nazwiska.

– Oszalałaś? Przecież ja was kocham! Miałaś przemyśleć moją ostatnią propozycję. Pamiętasz, kiedy byłem u ciebie i jadłem kluski na śliwkach, prosiłem cię, żebyśmy spróbowali naprawić nasze małżeństwo...

– Jak mogę nie pamiętać, skoro w wyniku tego spotkania zaszłam w ciążę?

– Trojka. To jest znak. Że wszystko się jeszcze może ułożyć. Czy

ty tego nie rozumiesz? Będziemy mieli dziecko! Nasze dziecko! Po 15 latach małżeństwa urodzi nam się dziecko! – ekscytował się Marcin. – Zapewnimy mu wszystko, co trzeba: będzie miało wszystko, czego zapragnie. Zobacz, Trojka: mamy mieszkania, samochód, dobrze prosperująca firmę, duże perspektywy...

– Ty to masz.

– Nie, nieprawda! To jest twoje!

– Szkoda, że zapomniałaś o tym przez tyle lat. I jest jeszcze jedna ważna rzecz, której nam brakuje.

– Helenko, o czym ty mówisz?

– Mówię o miłości. Dziecko nie może wychowywać się w rodzinie, w której nie ma miłości. Samochód, pieniądze i dostatnie życie to za mało.

– Troja – Marcin usiadł przy mnie i wziął mnie za rękę.

– Posłuchaj mnie, proszę. Nigdy tak bardzo nie byłem pewien swoich uczuć, jak wtedy, gdy cię straciłem. Jestem durniem. Ranilem cię przez całe życie. Nie umiałem okazywać emocji. Ale przysięgam, że to się zmieni. Zobaczysz. Daj nam tylko szansę. Przyjrzałam się mojemu mężowi. Nie wyglądał za dobrze, chociaż to ja byłam w ciąży. Od naszego ostatniego, kluskowego spotkania, poszarzał jeszcze bardziej i przygasł. Może faktycznie powinnam się zastanowić? Dziecko musi mieć ojca. Ale czy jakiegokolwiek?

* * *

– Przygotuj się – zadzwęczała w słuchawce Karina. – Idziesz się rozerwać.

– Jak to? A Klementynka? – ciąża najwyraźniej mi służyła.

– Oczywiście idzie z nami.

– Klemcia – zawołałam. – Szykuj się, idziesz z ciotkami.

– Znowu do zadymionego pubu? To ja wolę zostać w domu.

– Samej cię nie zostawię.

– Nie będę sama. Siwy ma przyjść – oznajmiła moja dziewczynka.



- Rany Boskie? A kto to jest Siwy?
- Przecież mówiłam cioci, to mój facet.
- Jak to twój facet? Czyżbyś przestała być rozsądną dziewczynką?
- Ciociu – Klemcia spojrzała na mnie z politowaniem. – Nie chcę być nieuprzejma, ale jeśli miałabym uczyć się rozsądku od cioci, to daleko bym nie zaszła.
- Właściwie to powinnam się teraz najpierw oburzyć, a zaraz potem obrazić – powiedziałam z rezygnacją w głosie.
- A za co? Przecież mam rację, prawda?
- Wiesz, dla zasady. Było, nie było, pouczasz mnie, mimo że nieletnia jesteś.
- Wolalabym zostać – wróciła do wątku Klemcia. – Siwy ma przynieść coś do słuchania.
- I może jeszcze mi wmówisz, że mam cię z nim zostawić sam na sam? O nie! Ja wiem, jak się takie rzeczy kończą!
- Ciocia sobie wyobrazi, że ja też wiem – i spojrzała wymownie na mój brzuch.
- Klementynko! – postanowiłam ratować wkopany w ziemię autorytet.
- Ale ja jestem dorosła!!!
- I co? Mam rozumieć, że dorosła znaczy mądrzejsza? – mała była bezlitosna.
- Kochanie, nie dobijaj mnie. Ja naprawdę nie wiem, co dalej będzie!
- Jak to co? Będziemy miały dziecko.

Weronika z Kariną zabrały mnie, w celu odstresowania, do w miarę nie dużo zadymionego pubu. Przez cały wieczór zamiast się relaksować, myślałam, co Siwy wyczynia z Klemcią. Podzieliłam się obawami z dziewczynami.

- Zwariowałaś, jeśli myślisz, że Klementyna dopuści go bliżej niż na odległość dwóch metrów.
- Karina, ale Siwy ma 16 lat, a ona tylko 13. Wiesz, jacy są chłopcy w tym wieku. Burza hormonów, problemy, czy penis mu się od masturbacji wykrzywił w lewą stronę, czy w prawą.
- Co ty gadasz? Zresztą uważam, że zupełnie niepotrzebnie się

martwisz. Kto jak kto, ale Klementynka potrafi faceta sprowadzić do parteru.

– O rany!!! – podnieciła się dziwnie Weronika. – Zobaczcie! Zobaczcie, kto tak siedzi przy stoliku pod oknem!

– Gdzie, gdzie? – nic nie widziałyśmy.

– Po przekątnej. Teraz kelnerka go zasłoniła. Oooo! Widzicie?

– Aha! Ten facet wygląda jak Deląg.

– Nie wygląda, tylko to jest Paweł Deląg. Oooo! Wstaje! Już wychodzi? – powiedziała zawiedziona Wera. – Myślałam, że jest wyższy.

– Nie wychodzi, tylko nawet Paweł Deląg musi od czasu do czasu sobie siknąć – śledziła go wzrokiem Karina. – Do klopa poszedł.

– Eeeeh – nie wiedzieć czemu westchnęła Weronika.

– A ty co? Myślałaś, że taki aktor to nie sika, nie ma też jelita grubego, a bąki to aniolki zabierają? – Karina miała wenę.

– Przestań mi go obrzydzać. To na nic – Weronika zawiesiła wzrok na drzwiach od toalety.

– Idzie! Idzie! Dziewczyny, ja pójde po autograf, co?

– A idź w cholere. Tylko wróc zaraz. Nie dosiadaj się do stolika. Weronika wychyliła dwie kolejki czystej pod rząd, wzięła głęboki oddech, rozpięła bluzkę i poszła. Wraca za kilka minut, rozanielona, ze skrzydłami u ramion niemalże.

– I co? Masz ten autograf? – spytałyśmy.

– Pewnie że mam – drżącym głosem zaśpiewała Wera.

– No to pokaż – Karina zaczęła poszukiwać kartki w rękach Weroniki.

– Tutaj mam! – oświadczyła Weronika i rozchyliła bluzkę.

Na jej obfitym dość biuście, faktycznie było coś namazane:

– „Weronice – Józek Ćwiek” – przeczytała na głos Karina i dostała spazmów.

– Jak to Józek Ćwiek? – nie mogła pojąć Wera. – Wyglądał jak Deląg.

– Daj spokój Wera, dajesz sobie obcym facetom po cymbałach pisać.

– Pijana jest. Dlatego.

– Pijana? Niby kto? Zaprzeczam kategorycznie – dość niewyraźnie powiedziała Wera.

Sporo kłopotów przysporzył jej wyraz „kategorycznie”.

– Dobra, w takim razie zrobimy test – zadecydowałam. – Powiedz: „PRIORYTET”.

– Por-pyor-por-pior... – Weronika walczyła do końca. Nabrala powietrza, wydeła policzki i wrzasnęła: „PRIORYTET!!!”.

Po pierwszej części słowa testowego przeżuwana przez Weronikę sałatka z krewetek znalazła się na twarzy sąsiada z sąsiedniego stolika, a uściślając – krewetka zaległa mu na środku czoła. Dodam, że była to krewetka tygrysia. Tak wielka jak mały krab. Myślałam, że umrę ze śmiechu. Ale postanowiłam zachować pokerową twarz.

Spojrzałam na Werę i już chciałam ją zrugać, ale zmieniłam zdanie. Moja koleżanka siedziała nieruchomo, a główka jej bezwładnie zwisała. Zapadła w letarg.

– Weroniko, idź przeproś pana i zdejmij mu tę krewetkę z twarzy.

– Daj spokój, Karina, naszej koleżanki tu nie ma. Dusza uleciała, tylko ciało zostało. Ona sobie tu wprawdzie siedzi, ale w środku nic nie ma. A pan sobie już poradził.

W związku z powyższą sytuacją temat mojego dziecka zszedł na dalszy plan.

Wróciłam do domu o dość przyzwoitej godzinie i zastałam Klementynkę szorującą gąbką tapetę.

– Kochanie, co ty robisz z tą ścianą? – naprawdę chciałam wiedzieć.

– Zmywam z niej krew – oznajmiła Klementynka.

– Krew? – musiałam sobie usiąść.

I nagle mi się przypomniało, że miał być Siwy, a go nie ma.

– A gdzie pan Siwy? Poszedł sobie już?

– Niezupełnie. Zabrali go – Klementyna nadal z zapamiętaniem szorowała tapetę.

– Kochanie, zostaw tę tapetę, bo zaraz się odklei. Czyja ta krew?

- Dupka do entej potęgi.
 - Siwego? – przeczuwałam.
 - Ciociu, Siwy to już historia. Możemy zmienić temat?
 - Chyba go nie zamordowałaś i nie wsadziłaś do tapczanu? Nie, nie możemy zmienić tematu. Zostawiam cię w domu z chłopakiem, a gdy wracam, ty zmywasz jego krew ze ściany. Musisz mi to wyjaśnić.
- Spojrzałam uważnie na Klemcię i zauważyłam, że włosy ma w lekkim nieładzie i trzęsą jej się usteczka.
- Ciociu, Siwy okazał się kolejnym dupkiem, któremu penis prawie nabił guza na czole. Testosteron mu się uszami wylewał i myślał sobie, że jak już tu do mnie przyszedł, to w jednym celu. „Co jest mała? Sama mnie zaprosiłaś, no to przyszedłem (PRZYSZŁEM – słyszy to ciocia?!). No to teraz, maleńka, nie udawaj, że nie chcesz. Chata wolna. Przecież sama tego chcesz”
 - powiedział, próbując wsadzić mi jęzor do gardła i łapę pod spódnicę.
 - O Jezu! Mówiłam, że tak będzie! – myślałam, że mi serce nosem wyskoczy.
 - Ciociu! A ja cioci powiedziałam, że jestem rozsądna, tak?
 - Tak. Ale jesteś 13-letnią dziewczynką! A on 16-letnim chłopakiem!
 - No. Jest 16-letnim chłopakiem ze złamanym nosem, stąd ta krew na tapecie. Jak mu walnęłam, to go lekko zarzuciło na ścianę. Jest 16-letnim chłopakiem z połamaną ręką. Trochę mu palce pogruchotałam. Wie ciocia, te, co mi pod spódnicę wkładał. Teraz to on długo tej łapy nigdzie nie wsadzi – zakończyła opowieść Klementynka. – Od ósmego roku życia trenuję judo.
 - Tak? Nie wiedziałam – zdziwiłam się.
 - Siwy też nie widział.
 - Kto go zabrał? – zainteresowałam się.
 - Jak to kto? Pogotowie.
 - To teraz mamy przerabane. Wszystko wyśpiewa.

- Ciocia życia nie zna. Powiedział, że stracił równowagę, przytrzymał sobie rękę drzwiami, a potem wpadł na ścianę i złamał nos.
- Tak czy inaczej będzie się mścił.
- Nie będzie. Dzwonił do mnie zaraz po tym, jak go poskładali. Kajał się i prosił o wybaczenie. Aha, dodał, że jestem kobietą jego życia i teraz ma pewność, że może mieć do mnie zaufanie.
- Skąd ja to znam? – zamyśliłam się.
- Z autopsji. Mówiłam cioci, że wszyscy są tacy sami.
- Może nie wszyscy, kochanie, ale znakomita większość. Zostaw tę tapetę. Czas do łóżka. Za dużo wrażeń jak na jeden dzień.

* * *

Rafał zadzwonił w porze tak zwanego lunchu i zaprosił mnie na kolację. Powiedział, że przyjedzie po mnie wieczorem, ponieważ nie chce, żebym narażała siebie i innych, przemieszczając się moim rączym ogierem nocą.

W pierwszej chwili zgodziłam się, bo zapomniałam, że jestem w ciąży. Jednak sobie przypomniałam, a w zasadzie przypomniało mi o tym moje nienarodzone dziecko, wysyłając mnie do łazienki, gdzie kazało mi puścić różnokolorowego pawia.

Odkąd się dowiedziałam, że spodziewam się dziecka, natychmiast odkryłam u siebie wszystkie objawy. Autosugestia czy co? Haftuję na okrągło, spałabym 24 godziny na dobę, reaguję (negatywnie) na różne zapachy. Ostatnio zwymiotowałam Karinie w samochodzie, bo mój zmysł powonienia dość oryginalnie zareagował na jej waniliową choinkę zapachową. Na szczęście Karina zachowała się jak człowiek i nie kazała mi sprzątać... Hm... Tylko że jakoś długo nie dzwoni.

Wczoraj zaś w hipermarkecie wyjadałam ogórki kiszzone prosto z beczki. Palcami. Gdy już sobie podjadłam, to przeszłam do beczki z kiszoną kapustą. To prawda, że kobiecie w ciąży, nawet niezaawansowanej, wiele się wybacza.



Boję się iść z Rafalem na kolację, żeby mu nie przynieść wstydu. Nie daj Boże w eleganckiej restauracji puszczyć pawia na kelnera? Nie dam rady się powstrzymać. A przede wszystkim trzeba mu powiedzieć, że jestem ladaczną i będę miała dziecko.

Wieczorem, gdy siedziałyśmy z Klementynką i po raz 28. oglądałyśmy „Alternatywy 4”, pożerając przy tym dwie pizze (jedna duża + jedna średnia gratis), do tego skrzydełka z kurczaka i pierożki Calzone, litr soku i litr coca-coli (Klemcia piła colę, bo mnie teraz po coli wydyma), wymknęło mi się:

– Kurcze, Klemcia, ja to mam niefart.

– O co chodzi tym razem?

– Jak już poznam jakiegoś fajnego faceta na poziomie, to okazuje się, że jestem w ciąży i to niestety nie z nim.

– Aha. Ale gdzie ten niefart? – Klementynka chyba nie nadążała.

– Co ty, mała, nic nie kumasz?

– Ciociu, dlaczego ciocia tak dziwnie mówi? Niech ciocia zacznie mówić jak dawniej, bo to obciach jak sto pięćdziesiąt.

– Oj, kochanie, chodzi o to, że nawet jeszcze dobrze nie zaczęłam się z nim spotykać, a już muszę przestać. A najgorsze jest to, że mam przecucie, że z nim mogłoby być dobrze. Miło. Mogłoby się nam ułożyć. Wiesz, czasami jest tak, że jak zobaczysz kogoś pierwszy raz, to po prostu już wiesz, że to ten. Zaiskrzy tak, że cię prawie poparzy.

– I co w związku z tym? Poparzyło ciocię?

– Jak cholera. Ale wiesz, wołałam się nie ekscytować, niż zanadto podniecać. Szkoda... Teraz to i tak nieważne...

– Dlaczego?

– Dlaczego, dlaczego... Jak to dlaczego? A który facet będzie chciał sobie głowę zawracać babą w ciąży? W dodatku nie jego autorstwa.

– Ciociu, myślę, że powinna ciocia dać mu szansę zdecydowania, a nie podejmować decyzję za niego. Niech się facet określi.

– Żartujesz chyba! Niedługo urośnie mi brzuch! Tylko wariat

zechciałby wiązać się z kobietą w moim stanie i w mojej sytuacji!
– A kto cioci powiedział, że doktor Wilczyński jest normalny?
– Niby nikt, ale wygląda dość przyzwoicie. Taki jest wyważony, rozsądny, ułożony. Zupełne przeciwieństwo artysty malarza.
– Widzi ciocia, pozory często mylą. Nawet ja niewłaściwie oceniłam Siwego. Taki cool facet się wydawał, a okazał się taką wielką świnią!

To było wczoraj. Dzisiaj umówiłam się z Rafałem na kolację, ale muszę to odwołać. To nie byłoby w porządku z mojej strony umawiać się z nim. Przecież ze mną nie może wiązać żadnych planów na przyszłość.

Wniosę mu w posagu nie jego dziecko, rozwód w toku i siostrzenicę jako bonus.

Niezła oferta. Nieczęsto się trafia taki rarytas jak ja! Proszę – takie trzy w jednym.

Jasna cholera. Muszę do niego zadzwonić.

No tak. Jego komórka nie odpowiada. Spróbuję na blok operacyjny.

– Doktor Wilczyński jest przy zabiegu – poinformowała mnie pielęgniarzka.

Aha! Pewnie znowu ucina jakąś nogę albo rękę.

Właśnie miałam po raz kolejny spróbować się dodzwonić do Rafała, gdy on zadzwonił do mnie.

– Dzień dobry, Helenko. Szukałaś mnie? Czy coś się stało?

– Dzień dobry. Dzwoniłam, bo najpierw chciałam odwołać naszą dzisiejszą wspólną kolację, ale w międzyczasie pomyślałam, że jednak powinniśmy się spotkać. Porozmawiać. Zapraszam cię do mnie. Zrobię coś dobrego. Co o tym myślisz?

– Jestem za, a nawet przeciw (O! Ma nawet poczucie humoru!).

Przyniosę wino. O siódmej?

– Tak. Dobrze. O siódmej.

O rany! Co ja narobiłam! Umrę, a nie powiem mu tego!

– Klementynko!!! – wydarłam się.

– Pali się, że się ciocia tak wydziera?



– Gorzej! Zaprosiłam Rafała na kolację. I powiedziałam, że przygotuję coś dobrego!

– No tak. Czyli klęska. Jeśli on spróbuje tego, co ciocia mu ugotuje, to na pewno ciocię rzuci.

– Dzięki, że mnie pocieszasz. Ratuuj mnie! W końcu łączą nas więzy krwi.

– Ile mamy czasu?

– Czekaj, czekaj. Jest trzecia, a on ma przyjść o siódmej. Czyli jakieś cztery godziny.

– Cztery do siódmej, ale jeszcze ciocia się musi umalować, ubrać, a ja muszę ewakuować się do cioci Kariny. Czyli na ugotowanie czegoś zjadliwego zostają dwie i pół do trzech.

– Wychodzisz?!

– No nie, zostaję! Co też ciocia? Jasne, że wychodzę. Musicie mieć odpowiedni nastrój. Kto wie, może pod wpływem chwili Rafał zapragnie zbliżenia i zanieś ciocię do sypialni, gdzie...

– Puszczę na niego wielobarwnego pawia. A poza tym ja nie mam sypialni.

– Nie ma mowy. Nie zdążymy. Dzisiaj ciocia nie może dać plamy. Dzwonię do ciotki Weroniki.

Nie mam pojęcia, o czym rozmawiały, ponieważ od nadmiaru emocji mnie zemdlilo.

Po godzinie przyjechała Weronika z Kariną obładowane jak święty Mikołaj w Boże Narodzenie. Wtargnęły do mojego mieszkania i natychmiast zaanektowały kuchnię, wyrzucając mnie do dużego pokoju, zwanego przez Klementynkę szumnie salonem. Od czasu do czasu spośród hałasów różnego pochodzenia, dobiegał mnie dźwięk tłuczonych talerzy. Towarzyszył temu kwiecisty potok słów Kariny.

Po kolejnej godzinie dziewczyny wypchnęły mnie z salonu do pokoju okupowanego przez Klementynkę. Kiedy mnie zawołały, weszłam do salonu i prawie powiedziałam: „Przepraszam, pomyliłam mieszkania”.

Nie mam pojęcia, jak one to zrobiły. Nie poznałam absolutnie niczego, poza dywanem, kanapą i roletami w oknie. To było na pewno moje. Cała reszta, nie wyłączając stołu, krzeseł, obrusów, zastawy, nie należała do mnie. Teraz już wiem, dlaczego Klementyna nałożyła mi słuchawki na uszy i włączyła jakiś okropny hip-hop.

– Słuchaj Trojka! Skup się! W piekarniku masz wszystko, co trzeba. Wystarczy podgrzać. A w mikrofalówce jest to, co nie weszło do piekarnika...

– Karinko, ale ja nie mam mikrofalówki...

– Już masz. Słuchaj dalej: zupa jest w garnku na kuchence – i pociągnęła mnie do kuchni.

– Garnki też nie są moje...

– Teraz już są. Cicho bądź, nie przerywaj, bo zgubię wątek. Deser w lodówce.

Podejrzliwym wzrokiem zmierzyłam lodówkę.

– Daj spokój, lodówka jest twoja.

– Uff. Jestem do niej przywiązana. Dziewczyny, ale wyjaśnijcie mi coś. Skąd to się wzięło? Te stoły, zastawa, to całe jedzenie?

– Catering. To takie wysublimowane określenie żarcia na wynos. Wiesz, żarcie na wynos w eleganckiej formie.

– Nie mam pieniędzy. To wszystko musi kosztować majątek.

– Ciocia się wyluzuje – odezwała się Klemcia.

– No właśnie. Wyluzuj się. Klementynka za wszystko zapłaciła złotą kartą twojej siostry.

– Dokładnie tak. A ponadto uznałyśmy, że przyda ci się kilka nowych sprzętów w domu. Aha, a teraz do łazienki, biegusiem Trojka. Ubierasz się.

– Przecież jestem ubrana – zauważyłam.

– Raczej przebrana. Teraz się ubierzesz stosownie do okazji.

– O! To może też macie dla mnie suknię z XVIII stulecia? Stosowną do okazji? A dla Rafała rajstopki i peruczkę?

– Cicho bądź i do łazienki.

Jak Boga kocham, nie wiedziałam, że mam łazienkę z gumy!

Zmieściliśmy się do niej wszystkie cztery, a ja mogłam nawet wykonywać różne ruchy, charakterystyczne dla przymierzania ubrań.

– Czy te ciuchy to też catering?

– Nie. Magazyn kostiumów Opery Narodowej – zażartowała Karina.

– Wyprzedaż była. Nie kupowałyśmy dużo nie ze sknerstwa (i tak Klementynka płaciła), tylko pomyślałyśmy, że na razie nie warto, bo i tak ci się wkrótce figura zmieni. Taka się zrobisz... rozłożysta.

– Rozłożysta to się zrobi później, jak urodzi. Teraz zrobi się aerodynamiczna.

– Teraz kosmetyki.

– A to co? – spytałam, wskazując palcem na walizkę wyglądem zbliżoną do tych, które mają przy sobie charakteryzatorki na planie filmowym.

– Też była wyprzedaż? Chcecie mi to wszystko nałożyć na twarz?

– Oj, Trojcia, zgadzam się, że trochę zaszalałyśmy, ale z kosmetykami mogłyśmy. Przecież jako przyszła matka też musisz ładnie wyglądać, dbać o siebie, żeby...

– ...się dziecko nie wystraszyło, jak mnie zobaczy zaraz po przyjściu na ten świat?

– Marudna się robisz. Ale wybaczymy. Dobrze, teraz do lustra.

I znowu, tak jak wtedy, gdy Klemcia kazała mi oglądać swoją podobiznę w lustrze, teraz też stałam i gapiłam się na siebie. Hm... i nieskromnie muszę stwierdzić, że to, co widziałam, podobało mi się. Tak dawno nie zrobiłam nic dla siebie, że już zapomniałam, jakie przyjemne jest poświęcanie czasu na głupie przebieranki i makijaże.

– Wyglądasz bosko! – zachwyciły się dziewczyny.

– Fakt. Niezła z cioci laska. Mówiłam, moja krew – dodała Klemcia.

– Chyba odwrotnie? – poprawiłam ją.

– A co za różnica? Na jedno wychodzi. Mówiąc słowami Siwego (aha, macie pozdrowienia): niezła dupa z cioci.

– Pewnie. Rycząca trzydziecha – dodała Weronika i puściła do mnie oczko.

- Nie wiem, czy rycząca, ale na pewno rzygającą – uzupełniłam i pobiegłam do łazienki.
- No nie! Troja, przestań, bo zniszczysz cały makijaż! – przeraziła się Karina.
- Coś ty! Przecież to jest pomadka L'Oreala Color Stay. Można jeść, pić, przez cały dzień, całować się nawet można i nie schodzi.
- Możliwe. A było tam coś o rzyganiu? Schodzi po zetknięciu z pawiem czy nie?
- O rany! – krzyknęła Karina spojrzawszy na zegarek. – W pół do siódmej. Spadamy. Klemcia, bierz plecak z książkami, przenocujesz u mnie, a jutro odwiozę cię do szkoły.
- Ciociu, niech ciocia podejdzie jeszcze raz do lustra.
- Podeszłam. I co?
- Teraz niech ciocia powtarza za mną: Jestem atrakcyjną kobietą w najlepszej fazie jej rozwoju, pozbawioną problemów i zmartwień dnia codziennego, otwartą na nowe uczucie, wartą w stopniu najwyższym miłości szacunku i szczęścia, potrafiącą dać mężczyźnie to, czego pragnie najbardziej, pełną seksu i namiętności, zrelaksowaną i pełną wewnętrznej równowagi.
- Klementynko, przecież nic z tego, co ty mówisz, nie jest prawdą!
- Ciocia nie dyskutuje, tylko powtarza: Jestem atrakcyjną kobietą w najlepszej fazie jej rozwoju...
- Jestem atrakcyjną kobietą w najlepszej fazie jej rozwoju (raczej niedorozwoju)...
- ...Pozbawioną problemów i zmartwień dnia codziennego...
- ...Pozbawioną problemów i zmartwień dnia codziennego (jak można tak kłamać?!)..
- ...Otwartą na nowe uczucie, wartą w stopniu najwyższym miłości, szacunku i szczęścia...
- ...Otwartą na nowe uczucie, wartą w stopniu najwyższym miłości, szacunku i szczęścia (może i jestem otwarta, ale do tanga trzeba dwojga)...
- ...Potrafiącą dać mężczyźnie to, czego pragnie najbardziej...

- ...Potrafiącą dać mężczyźnie to, czego pragnie najbardziej (rany, nie mam pojęcia, o co to może być!)
- ...Pełną seksu i namiętności...
- ...Pełną seksu i namiętności (kto, ja?!)
- ...Zrelaksowaną i pełną wewnętrznej równowagi.
- ...Zrelaksowaną i pełną wewnętrznej równowagi (aktualnie pozbyłam się mojej równowagi wewnętrznej i trzęsę się jak galaretkę w salaterce).
- W porządku. To my już swoje zrobiłyśmy. Zadzwoń, jak Rafał wyjdzie.
- Dobrze. Jeśli nie zadzwonię, oznaczać to będzie, że leżę z głową przy kuchence gazowej, załamana kolejną życiową porażką. A tak szczerze mówiąc, to ja nie wiem, na co my wszystkie liczymy? Przecież wiadomo, jak skończy się ten wieczór. Rafał wyjdzie zaraz po tym, jak mu powiem, że jestem w ciąży.
- Pożyjemy, zobaczymy. Trzymaj się Trojka, kochamy cię. Pa. I poszły. A ja zostałam w mieszkaniu po metamorfozie z nową sobą i strasznym cykorem.

Rafał trzasnął drzwiami i wyszedł. A ja nie miałam nawet siły zawlec się do kuchni i położyć głowy w piecyku, jak obiecałam Karinie.

Zostałam z zastygłym w ręku widelcem i, założę się, głupim wyrazem twarzy.

Właściwie nie wiem, na co liczyłam. Który normalny facet wiązałby się z kimś takim jak ja? Szkoda tylko tego jedzenia i całej tej kasy wydanej na tę beznadziejną kolację.

Tak sobie rozmyślałam, lezki same poleciały, nie wiadomo skąd i dlaczego, na solę w sosie kalafiorowo-brokulowym. Cholera by to wszystko wzięła – moje życie to same straty. Odkąd postanowiłam być odważna, samodzielna, odkąd podniosłam z podłogi dumę i zapomniany honor, ciągle wiatr mi w oczy wieje. Nawet jak już przez chwilę jest dobrze, to zaraz potem znowu jest źle. Ha! Jedyne, co mi teraz wychodzi, to... dzieci. Brawo, Helenko! Jaką

trzeba być idiotką, żeby zająć w ciążę z własnym mężem, będąc w trakcie rozwodu! Tylko mnie mogło się to przydarzyć.

Ooo! Patrzę na to całe żarcie na stole i nawet mnie nie mdli. Chyba z nerwów mam ściśnięty żołądek. A co mi tam? I tak będę za chwilę grubą, samotną matką z dwojgiem dzieci (w tym jedno trochę wyrosnięte, nabyte drogą najmu na czas tak naprawdę nieokreślony). Zaczęłam beztrzesko pałaszować kopiasty deser, gdy usłyszałam podejrzany hałas w przedpokoju. No tak. Nie zamknęłam drzwi. Teraz tylko brakuje, żeby mnie napadli, okradli i poćwiartowali w wannie.

Średnio byłam zainteresowana ewentualnymi złodziejami, nawet się nie ruszyłam od stołu. Co Rafał powiedział, zrywając się jak oparzony od stołu, po zakomunikowaniu mu przeze mnie wiadomości sezonu? „Nie ruszaj się. Zaraz wracam”.

Tia. Na pewno. Wróci. Ale co tam, nie ruszam się, nie chce mi się. Bo niby gdzie miałabym pójść? Dzwonić do dziewczyn i przyznać się do kolejnej kłęski?

Eee, zdążę jutro. A poza tym mam dziwne przeczucie, że one nie wytrzymają do jutra i nawiedzą mnie jeszcze dzisiaj. Pewnie siedzą teraz jak na rozżarzonych węglach i obgryzają paznokcie. Wróc – tipy.

Co się w tym przedpokoju dzieje? Jacyś niegramotni ci włamywacze. Tyle czasu w jednym miejscu? Z takim wynikiem niewiele mieszkań obrobiją. Podniosłam się z krzesła i właśnie zamierzałam zaryzykować i pouczyć włamywaczy, gdy do pokoju wszedł Rafał. Albo jego duch.

– Przecież cię prosiłem, żebyś się stąd nie ruszała – powiedział ciepłym głosem duch Rafała i podszedł bliżej.

Nio, nio, nio. Z bliska Rafałowi duch wyglądał całkiem jak żywy. I nawet pachniał tak jak Rafał. Lody migdałowe z bitą śmietaną podeszły mi do gardła i modliłam się, żeby nie postanowiły się uwolnić właśnie w tej chwili.

– Przepraszam, że musiałaś czekać tak długo, ale musiałem jechać

aż do centrum. Wszystkie kwaciarnie w okolicy są już zamknięte. Na oczy mi się rzuciło, bo wcale nie zauważyłam przecudnego bukietu z pąsowych, metrowych róż. Ale co ja się dziwię, skoro nawet nie zauważyłam, że nie mam okresu.

Miałam wrażenie, że ciągle siedzę z rozdziawioną buzią, poza tym zdawało mi się, że jestem upaprana bitą śmietaną, a w kącikach ust mam lody migdałowe.

Uroczu musiałam się prezentować.

– Zapomniałaś czegoś? – zapytałam mało inteligentnie i chyba dość nieprzyjemnie.

– Tak. Ciebie – powiedział duch Rafała, całując mnie delikatnie za uszkiem.

Uff. Jak gorąco! Dobrze, że jest Rexona...

– Rafał, to nie dzieje się naprawdę. Ciebie tu nie ma, wyszedłeś prawie godzinę temu, zaraz po tym, jak ci oznajmiłam, że spodziewam się dziecka. A ja kimnęłam się na stole i to wszystko mi się po prostu śni. A może ty mnie nie zrozumiałeś? Powtórzę jeszcze raz, żebyśmy mieli jasność:

Mam 35 lat, jestem w trakcie rozwodu z mężem, z którym dość niefartownie zaszłam w ciążę już po tym, jak się wyprowadził, by zacząć prawdziwe życie u boki tirówki, którą potem odbili panowie z mafii. W chwili słabości uległam mężowi, bo mi się wydał taki odmieniony. W efekcie spodziewam się jego dziecka, a ponadto mieszkam z nastoletnią siostrzenicą i nie zanoszę się na to, by coś się miało zmienić. Zarabiam niewiele, jestem w kiepskiej formie psychicznej, chociaż się staram. Mam za sobą dość krótki, ale intensywny związek z artystą malarzem, który okazał się być ćpunem. W dalszym ciągu do końca nie określiłam się co do mojej orientacji seksualnej, bo jak ci wspominałam, moja szefowa kocha się we mnie. Mam dwie szalone przyjaciółki oraz nie całkiem normalnych rodziców i całkowicie niezrównoważoną siostrę. Mówię ci o tym, bo najprawdopodobniej jestem obciążona dziedzicznie. No. Teraz możesz już iść. Tylko błagam, nie trzaskaj drzwiami.

Zakończyłam monolog i dopiero teraz odważyłam się podnieść wzrok znad talerza.

Spojrzałam na Rafała i nie powiem, lekko się zdziwiłam. Doktor Wilczyński siedział dokładnie naprzeciw mnie i uśmiechał się.

Przyjaźnie, szczerze, serdecznie i łagodnie.

– Oj, kochana! Jeśli po takiej reklamie nadal tu jestem, musi oznaczać to tylko jedno.

– Że jesteś nienormalny co najmniej tak jak ja? – co ja gadam?!

– Że muszę kochać cię jak wariat – powiedział i znowu pocałował mnie za uszkiem.

Cholera! Jak on mnie tak ciągle będzie całował za uszkiem, to nie będę mogła mu się długo opierać.

– Rafał, ale ty nie jesteś gejem? – postanowiłam się upewnić.

– A co? Jestem za mało męski? – kokietował.

– A nie jesteś przypadkiem poszukiwany listem gończym przez Interpol?

– Jeśli nawet, to nic mi o tym nie wiadomo.

– Ani mafia nie wydała na ciebie wyroku za amputowanie nie tej ręki co trzeba jakiemuś ich bossowi?

– Ostatnio miałem same nogi, więc raczej nie.

– I nie masz guza mózgu?

– Zaczynasz zadawać coraz bardziej makabryczne pytania.

– Pytam, bo może masz jednak tego guza i uciska ci nerw słuchowy. I nic nie usłyszałeś z tego, co mówiłam.

– Wiesz co, Trojka? To ty chyba masz guza mózgu, bo to nic nie słyszysz! Czy tak trudno zrozumieć, że po prostu chcę być z tobą?

– Bardzo trudno. Nie rozumiem – przyznałam szczerze.

– To chodź tu do mnie, będę ci tłumaczył.

Przyciągnął mnie do siebie, wziął na rękę (silny facet!) i zaniósł do sypialni.

Hm... Tłumaczył mi wszystko długo i bardzo szczegółowo.

Prawdę powiedziawszy, jeszcze dotąd nikt mi tak nie tłumaczył jak on. Tak precyzyjnie, cierpliwie i czule. I jak już skończył tłumaczenie,

to zaczął od początku. Troszkę obawiałam się, jak znosi to moje dziecko, ale chyba dobrze.

I pawie mnie opuścili, mam nadzieję, że już na dobre. Kiedy lekko ochłonęłam, postanowiłam wreszcie coś powiedzieć. I powiedziałam.

Spytałam:

– Rafałku, myślisz, że ja mam punkt G?

– Myślę, że masz, ale jeśli nie jesteś pewna, to mogę go poszukać

– zaoferował się.

I w tym momencie ktoś załomotał do drzwi. Zerwałam się na równe nogi i pobiegłam zobaczyć, kto mi przeszkodził w poszukiwaniach.

Karina, Weronika i Klementynka stały w korytarzu, nerwowo przestępując z nogi na nogę.

– Co ty sobie myślisz? Wiesz, jak my się denerwujemy?! Miałas zadzwonić, jak sobie pójdzie! – wrzasnęła Karina.

– Właśnie. Jak sobie pójdzie – odpowiedziałam rzeczowo.

– Och! To znaczy... – Karina się zapowietrzyła.

– ...że przeszkadzamy – dokończyła rezolutnie Klementynka i wypchnęła ciotki na korytarz.

* * *

– Kobieto, jak ty wyglądasz?! Kto cię pobił?! – wrzasnęła Karina zaraz po tym, jak wpuściłam ją po półgodzinnym koczowaniu pod moimi drzwiami.

– Chyba nikt. To te wasze kosmetyki.

– Żartujesz chyba! Kosmetyki za taką cenę nie uczulają! Cholera! Wyrzuciłam paragon! Zaskarżymy ich! Jeszcze się jakąś kasę na tym wyciągnie! – ekscytowała się Karina.

– Nie gorączkuj się. One faktycznie nie uczulają, tylko po prostu trzeba je zmywać, gdy idzie się spać – wyjaśniłam spokojnie.

– No właśnie. I dlatego teraz nie masz oczu, cerę masz jak zużyty papier ścierny, a usta jak po przedawkowaniu kolagenu. Chirurgowi

się ręką omsknęła ze strzykawki?

Karina przyglądała mi się chwilę i powiedziała:

– I wiesz, kochana, że te usta mogłyby ci takie zostać. Do twarzy ci w nich.

– Do twarzy mi w tych ustach? Karina błagam, nie dobijaj mnie.

– Kładź się. Wyglądasz tragicznie. Jak cię Rafał zobaczy w takim stanie, to zaraz zmieni zdanie.

Nie miałam siły się opierać. Karina, mój zbawiciel, najpierw przyrządziła mi przepyszne mleczne śniadanko, w sam raz dla przyszłej matki. Następnie uwolniła mnie od resztek makijażu.

– Dziękuję ci, złota jesteś. Czuję się tak, jakby ktoś zdjął mi odlew z twarzy. Gdzie moje dziecko? – spytałam średnio przytomnie.

– No chyba w brzuchu – Karina też była nieprzytomna.

– Naprawdę? Co ty powiesz? – zakpiłam. – Chodziło mi o to, gdzie jest Klementynka.

– Przyzwyczaj się do myśli, że dzieci w jej wieku podsyła się do szkoły. Oswajaj się, bo niedługo cię to czeka – pouczyła mnie Karina.

– Nie przesadzaj. Najpierw, żeby mogło gdziekolwiek pójść, musi wyjść z brzucha.

– Poważnie myślisz, że jak wyjdzie z brzucha, to od razu sobie gdzieś pójdzie samo?

– Jasne. Do monopolowego. Albo na paradę techno.

– Parady techno nie ma w tym roku.

– A ty skąd wiesz? Lubisz techno? – przeraziłam się.

– Klemcia mówiła. Ale Klemcia raczej nie bardzo przepada za tego rodzaju muzyką?

– Jesteś wielka, wiesz? Nazywasz techno muzyką? Prawda, że Klemcia nie kocha techno. Ale Siwy tak.

– Jak to, Siwy? Przecież to już historia. Zmieniło się coś? I dlaczego ja nic o tym nie wiem?

– W zasadzie nic się nie zmieniło. Oprócz tego, że się już wylizal i kocha Klemcię jeszcze bardziej niż przed nokautem.

- Co ty powiesz? Okazuje się, że wystarczy faceta stłuc i nabiera szacunku! Muszę to zapamiętać.
- Ucz się, ucz. Klementyna to niewysychające źródło informacji.
- A wracając do rozrywek. A co ty byś chciała, żeby zapisało się do harcerstwa?
- A dlaczego nie?
- Bo nie – ucięła Karina.
- O rany, aleś tyś elokwentna.
- Będiesz z Rafałem? – zmieniła temat Karina.
- A skąd ja mam wiedzieć?
- No wiesz? Przecież szukaliście punktu G – odparowała Karina.
- O matko! Skąd o tym wiesz?! – serce mi podeszło do gardła.
- Darłaś się tak, że cię pół klatki schodowej słyszało. „Czy ja mam punkt G?”
- No bo nie wiem, czy mam – posmutniałam jakoś.
- Aha. Teraz także połowa twoich sąsiadów wie, że ty nie wiesz.
- Słuchaj, to, że szukaliśmy tego z Rafałem, jeszcze nie oznacza, że będziemy ze sobą.
- A może oznaczają to kwiaty? Co? – Karina była nieugięta.
- Karinko, słoneczko moje, a dlaczego ty się tak wypytujesz?
- Troszczę się o ciebie, to wszystko.
- Jakoś ci nie wierzę.
- Trojka, chodzi tylko o to, że ostatnio ci się nie szczęściło.
- Nareszcie gadasz z sensem. Fakt. Ale przyzwyczajam się.
- Dupa, nie przyzwyczajasz. Ty się bardzo angażujesz i potem cierpisz. Może powinnaś nabrać dystansu.
- Może. Ale trochę mi trudno się zdystansować, kiedy jestem w ciąży. Wszystkiego się boję, przyszłość mnie przeraża. Gdyby nie Klementynka, nie wiem, jak bym to znosiła.
- Dzięki. Miło wiedzieć, że jest się docenianym – tym razem Karina skusiła się na szyderstwo.
- Nie o to chodzi, Karuś. Was nie mam na co dzień. A mała mieszka ze mną i jest moim światelkiem.

- Jak chcesz, to mogę się do ciebie wprowadzić – uradowała się własnym pomysłem Karina.
- Chętnie, ale chwilowo brak wolnych miejsc.
- Co? Rafał się wprowadza?
- Na szczęście nic o tym nie wspominał. Nie jestem jeszcze gotowa na zbieranie spod krzeseł brudnych skarpetek. I chyba długo nie będę.
- To się zgadza. Wkrótce zaczniesz zbierać spod krzeseł grzechotki, gumowe piszczące zabawki i...
- ...może czasami pampersy – dokończyłam myśl.
- Z kupą – dodała Karina.
- Karusiu – powiedziałam cichutko. – Bardzo się boję.
- Głuptasku, czego? Wszystko będzie dobrze, zobaczysz. Nie pozwolimy, żeby coś złego się stało – powiedział Karina i objęła mnie.

* * *

Rano Klementynka wrzasnęła do mnie z łazienki:

- Czoczu, może czocza czosz dla mnie szrobicz?
- Klemcia, nie mów do mnie, kiedy masz szczoteczkę w ustach. Doszło mnie soczyste charchnięcie i Klementynka splunęła do umywalki.
- Ciociu, pytałam, czy może ciocia coś dla mnie zrobić
- powtórzyło dziecię z pustą buzią.
- Mianowicie? – już się zaczynałam bać.
- Chciałabym urządzić imprezkę urodzinową – wyjaśniła.
- Przecież urodziny już miałaś.
- No właśnie. Ale jakoś tak bez echa przeszły. Młodzież się domaga.
- A jak ty to sobie wyobrażasz?
- Wyobrażam sobie, że ciocia się ewakuuje w najbliższą sobotę i wróci w niedzielę po południu – Klemcia przedstawiła swoje stanowisko.

– O nie! Wybij to sobie z tej ślicznej główki. Ja w tym roku nie opłaciłam ubezpieczenia mieszkania, bo mnie mąż dla tirówki rzucił i nie miałam za co przedłużyć polisy. W niedzielę, kwiatuszku, mogę nie mieć do czego wrócić.

– Ciociu! Ciocia mnie zarazi tym pesymizmem. Trochę wiary, co?

– W kogo mam wierzyć? W dzisiejszą młodzież?

– Nie, przecież powiedziałam „trochę wiary”, no nie? Wierzyć w całą młodzież to czyste samobójstwo. Ale we mnie ciocia mogłaby zainwestować.

– Klemciu, błagam. Wiesz, że mam pecha. Nie jestem dobrym graczem. Tak naprawdę, jestem fatalnym prognostykiem. Nie namawiaj mnie.

– To co ciocia proponuje? – spytała Klemcia.

– Kompromis.

– O rety! Jak słyszę to słowo, to mi się zbiera.

– Mnie też, ale trudno. Słuchaj. Zgodzę się na imprezę w domu, ale tylko wtedy, gdy ja w nim zostanę.

– Ciocia? – Klementyna powiedziała to takim tonem, że dokładnie wiedziałam, jak bardzo się ucieszyła.

– Ciocia – upewniłam ją.

– O Jezu! To mam przerabane.

– Dziękuję ci, dziecinko. Milusia jesteś. Ja też cię lubię.

– Nie o to chodzi. Tylko ciocia trochę sztywna jest. No chyba że ciocia sobie wypije, to co innego. Ale teraz ciocia nie może pić, więc przewiduję tragedię. Polegnę na oczach 20 osób.

– Ilu? Czy ty mylisz, że to mieszkanie rozszerza się pod wpływem ciepła? Ja mam tu tylko 55 metrów.

– I wystarczy. Ostatnio imprezowaliśmy u Siwego. Jego chata ma tylko 30 metrów. Zmieściliśmy się wszyscy, 42 osoby. I jeszcze luz był.

– Luz? Gdzie? Chyba na balkonie?

– Nie, balkon był zajęty. Wszyscy z niego...

Woda się lala w wannie, więc na szczęście nie usłyszałam, co robili na tym balkonie.

- Klemcia! Nie kończ, domyślam się, co robili niektórzy. I ty chciałaś, żebym ja wyszła! Niedoczekanie.
- Ciociu, spox. Już się negocjacje skończyły. Tylko jeszcze jedno. Jak już ciocia tak koniecznie chce mi narobić obciachu swoją obecnością, to składam wniosek o zaproszenie do udziału w imprezie cioci Kariny i Weroniki. One są wyluzowane, to może ciocia nie będzie taka zwapniała.
- Przepraszam, jaka? Zwapniała? Coraz miłsza jesteś, wiesz?
- Ale kocham ciocię. I to się liczy. I ciocia kocha mnie – dodała skromnie.
- Tak. I to się liczy.
- A co z jedzeniem na tę twoją imprezę? Może coś przygotuję?
- zaoferowałam się.
- Nie! To znaczy... Dziękuję. Jeszcze koledzy mnie posądzą o usiłowanie morderstwa. Zamówię catering. As always – dorzuciła po angielsku i zmyła się. Także po angielsku.

* * *

- Karina, co ty masz na sobie? – spytałam na widok mojej przyjaciółki.
- Nie znasz się. To się teraz nosi – powiedziała wyniośle.
- Ale w gimnazjum chyba.
- Nie znasz się, powtarzam, więc nie dyskutuj. Schowaj wino do lodówki.
- Ale dzieci nie będą piły – ostrzegłam.
- Oficjalnie nie. Ale nie licz na ich abstynencję.
- Karina, co ty wygadujesz? Przecież to są jeszcze dzieci.
- No widzisz. Dzieci, a bardziej zorientowane od ciebie. Koledzy Siwego mają 16 lat. To nie są już dzieci.
- Jak to? To Siwy też tu będzie? Znowu Klementynka będzie szorowała tapetę!
- Już ty się nie martw. Siwy już długo ręki nie wsadzi, gdzie nie

trzeba. A wracając do alkoholu, to oczywiście, że im go nie damy, ale nie licz na to, że nie będą pili.

– Gdzie? I co?

– W kiblu na przykład. Wlewają wodę do butelek z oranżadą albo coca-colą. Wtedy piją oficjalnie.

– No wiecie! Do czego to doszło! – nie kryłam oburzenia. – Za naszych czasów było inaczej!

– Jasne. Za naszych czasów wszyscy pili tylko mleko – Weronika uśmiechnęła się zgryźliwie.

– Pij mleko, będziesz wielka – Karina zadzwęczała telewizyjną reklamą. – A ty się Trojka tak święcie nie oburzaj, bo ci będę musiała coś przypomnieć.

– Tak? A co? – sama byłam ciekawa.

– Jak sobie ciocia rozcięła palec, otwierając butelkę z winem

– dorzuciła Klementynka, która zjawiała się jak duch.

– A ty skąd o tym wiesz? – troszkę się wściekłam.

– Ode mnie – broniła Klemci Karina.

– Ale to było co innego. Nie żadna impreza – usiłowałam wyjść z twarzą, bo miałam jeszcze nadzieję, że dziewczyny nie powiedziały Klemci wszystkiego.

– Nio. Nie było imprezy. Uczyliście się do matury, u cioci w domu zresztą, i ciocia nie miała korkociągu. W związku z tym otwierała ciocia wino nożem. I prawie sobie ciocia palec amputowała.

– Wredna jesteś, wiesz? – syknęłam do Kariny.

– Tylko uczciwa wobec dziecka. Co, wyprzesz się?

– Spróbuję – dzielnie odparłam.

– Weronika – krzyknęła Karina. – Trzymaj ją! – wskazała na mnie. Złapały mnie za rękę i chwyciły mój palec, dzierżąc jak trofeum.

– Patrz dziecko! Sześć szwów! Tak się młodzież za naszych czasów uczyła do matury!!!

– Eeee tam! – prychnęła Klementynka. – Na imprezie u Łysego trzech koleśi zabrało pogotowie. Razem mieli 24 szwy. Aha! I dwa wybite zęby. Jeden złamany nos. Jedna zdrutowana szczeka. Cztery

połamane żebra. Wstrząs mózgu. Jedno otwarte złamanie. Jedno oberwane ucho...

– Klementynko! – krzyknęła Weronika. – Nie denerwuj ciotki!

– Klementynko!!! – rozdarłam się. – I ja miałam was zostawić samych???

– Żartowałam tylko – powiedziała Klemcia i oddaliła się, zostawiając nas ze stanem podgorączkowym.

* * *

– Jest ciotka? – spytała Karina Klementynę, gdy ta po półgodzinie łaskawie odebrała telefon.

– Jest, ale zajęta. Depiluje się. Odkąd zaszła w ciążę, włosy rosną jej na potęgę. Niedługo będzie wyglądała jak Yeti. Od góry już wygląda jak Breżniew.

– Klementynko! – krzyknęłam z łazienki. – Lojalnie uprzedzam, że wszystko słyszę.

– To, co ciocia Karina mówi też?

– Też. Zapomniałaś, że zafundowałaś mi telefon w łazience?

– To ciocia nie słyszy, tylko podsłuchuje – wypomniała mi Klemcia.

– Dobra, niech podsłuchuje – zgodziła się Karina. – Ale niech się nie wtrąca.

– W porządku. Nie będzie się wtrącać. Możecie spokojnie obrabiać jej tyłek – powiedziałam i zabrałam się za moje nogi.

– Powiedz jej, żeby wybrała się na cukrowanie – poradziła Karina.

– A co to?

– To jest humanitarna odmiana woskowania – wyjaśniła ciotka numer dwa.

– Powtórzę. Może i to rozwiązanie będzie bardziej ekonomiczne, bo już finansowo nie wyrabiamy na maszynki do golenia.

– Co ty? Nie bądź sknera, Klemcia? Ciotce żałujesz dwa pięćdziesiąt? – Karina pilnowała moich interesów.

– Ciocia się nie zna. Teraz są na topie maszynki a la Andre Agassi.

Z ruchomym ostrzem. Można golić sobie nawet kolano i wyjść z tego bez sznytów.

– Znaczy, nie pochlastać się i nie zachlapać całej łazienki?

– Dokładnie tak. Taniej byłoby amputować cioci Troi obydwie nogi. Trochę gorzej z pachami. A już wprost tragicznie z pachwinami. Ciocia Troja nic, tylko siedzi w łazience i przeprowadza depilację. Ostatnio zmusiła mnie do oceny swojej nowej fryzurki. Toż to czysta demoralizacja.

– Masz rację, dziecinko. A zdradzisz mi, co Trojka sobie wytworzyła na łonie? – Karina była zdecydowanie nienormalna.

– W tym tygodniu jest irokez. Dobrze, że jeszcze się nie farbuje.

– Jeśli zaczniesz, zawiadom mnie. Oddamy ją na zamknięte leczenie i pozbawimy praw rodzicielskich.

– No tak. Przyszła matka strzygąca włosy łonowe na irokeza to lekkie przegięcie. Ale rozumiem to. Akurat to rodzinne. Moja mama strzygła się na punka, a czasami na skinheada.

– O rany! Na zero? – Karina się zdziwiła.

– Zero kompletne. Ale potem płakała, że ją kłuje.

– Klementynko, to cud, że ty jesteś normalna – powiedziała Karina z niekłamanym podziwem.

– Jeszcze nic nie wiadomo. Podobno niektóre choroby psychiczne ujawniają się w późniejszym wieku – dodała Klemcia pięknie symulując zmartwienie.

– Nie trać wiary dziecko. I idź do łazienki sprawdzić, czy ciotka Troja nie pocięła się śmiertelnie. A tak w ogóle dlaczego ona nie używa pianek do depilacji? Poleć jej krem depilujący Veet.

– Lepiej nie. Ciocia już to przerabiała. Zamknęła się w łazience, usiadła na brzegu wanny, jak ta lalunia z reklamy i wygłosiła tekst: „Mój pierwszy plan zdjęciowy. Do tego w Afryce. Nawet tutaj moja skóra musi być gładka. Użyj pianki Veet, zobaczysz, że twoja skóra będzie gładka przez wiele dni”. A po chwili dodała: „Przez wiele dni?! Chyba u ciebie wyfiokowana laluniu, bo u mnie przez trzy godziny, a potem znowu zaczynają rosnać jak chwasty na działce

u mojej matki, kurwa mać”.

– I co? I co? – Karina umierała z ciekawości.

– No i ciocia użyła. Podglądałam przez kratkę na dole drzwi. Tarła nogi po nałożeniu tej pianki jakby chciała się obedrzeć ze skóry. A w ogóle to ciocia Troja mnie straszy!

– Jezus Maria! W jaki sposób? Chowa się w ciemnym pokoju i wyskakuje ci nagle zza pleców?

– Eeeee tam. Nie. Bo wie ciocia, ja dojrzewam. Burza hormonów, w głowie mi się nieraz miesza i jestem czasami niezbyt łatwa w pożyciu, ogłędnie mówiąc.

– Aha! Wiem, że dojrzewasz. Jesteś w tym trudnym wieku między 11. a 21. rokiem życia – powiedziała Karina.

– Ciociu, wiem, co ciocia zrobiła.

– Tak? A niby co?

– Zawiesiła ciocia zawistnie spojrzenie na moich piersiach

– powiedziała Klemcia niczym jasnowidz. – W dodatku przez telefon.

– A skąd... – zaczęła Karina i ugryzła się w język. – A poza tym nadal nie rozumiem, o co chodzi z tym straszaniem.

– Ciocia Trojka, gdy właśnie mam atak hormonów i robię to czy tamto, bierze się pod boki, patrzy na mnie jak jadowita żmija i syczy: „Zobaczysz, oj zobaczysz ty, jak ja ci się odwdzięczę za te męki, na jakie mnie narażasz w związku z twoim dojrzewaniem. Zemszczę się, kiedy wejdę w okres menopauzy!”.

– Oj, Klemciu, ale kiedy to będzie! Przecież przewidujemy, że „to” nas dopadnie gdzieś za jakieś... – i nastąpiła przerwa. Karina chyba liczyła, ile mamy lat. – Trzydzieści lat.

– Tia. Z matką to ciocia raczej kiepsko stoi. To są niezwykle optymistyczne prognozy – dodała złośliwie Klemcia, gdyż najprawdopodobniej zaczął się atak hormonów.

* * *

– Rafał zabrał mnie na koncert do filharmonii. Pendereckiego



grali – powiedziałam Weronice.

– Przecież ty nie znosisz muzyki poważnej. Kiedyś chciałam, żebyśmy poszły we trzy, ale końmi cię nie dało się zaciągnąć

– Wera nie mogła wyjść z podziwu.

– Wiesz... Ludzie się zmieniają. Upodobania też... – broniłam się.

– Sratitati. Ja nigdy nie lubiłam bananów i już ich nie polubię. Od muzyki techno dostaję wysypki. Nie słuchałabym tego, nawet gdyby grał sam Yehudi Meduhin.

– Yehudi Meduhin grający techno?! Interesująca fantazja.

– Nie zmieniaj tematu. Co z tym Pendereckim? Dlaczego poszłaś z Rafałem do filharmonii, skoro jej nie znosisz?

– Rafał twierdzi, że dziecko już teraz powinno uczyć się, co jest wartościowe. Dla niego wartością jest muzyka poważna.

– A dla ciebie? – Weronika parła dalej.

– Wiele rzeczy oczywiście.

– O muzykę pytałam.

– Wiesz, że bardzo lubię Myslovitz. Michała Bajora. Patricię Kass...

– Właśnie. I tego powinnaś słuchać. Nie Pendereckiego. To w końcu twoje dziecko. Ty decydujesz, co dla niego dobre. I nigdy o tym nie zapomnij, bo stracisz kontrolę nad własnym życiem. A dopiero co zdołałaś ją odzyskać. Mówiliśmy ci z Kariną, że wystarczy cię trochę wypucować, odkurzyć i znowu będziesz zbuntowaną nastolatką z diabelskim charakterkiem.

– Coraz mniej mam wiary w to, że mi się uda... Niby jestem z Rafałem dwa miesiące, ale jakoś mi tak... dziwnie, wiesz?

– Wyrażaj się jaśniej. Przecież Klemcia mówiła, że on jest pewniak.

– Wydaje mi się, że zbyt często wszystkie zapominamy, że Klementynka ma dopiero 13 lat.

– Ma. I co z tego? Często bywa mądrzejsza i ma słusniejsze spostrzeżenia niż my trzy razem wzięte.

– Tak, a to dlatego, że ma świeży, nieskażony umysł. Ale wciąż ma tylko 13 lat. Ona nie może po prostu mieć takiej wiedzy i doświadczenia jak my. Może się mylić.



- Hm... – Wera się zamyśliła. – Masz rację. Jakie masz wątpliwości co do Rafała?
- Głupie chyba, ale nie dają mi spokoju. On zachowuje się tak, jakbym była ubezwłasnowolniona. „Tego nie rób, kochanie. A po co ci to, kochanie. Zostaw, kochanie. Przytul się do mnie, kochanie. Co na obiad, kochanie? Znowu pyzy z mięsem? Nie potrzebujesz jeszcze sukienki ciążowej, kochanie. Wyłącz tę okropną muzykę, kochanie”. Mówię ci, tak jest na okrągło. Już nie wyrabiam. On taki nie był. Zachowywał się jak super, tysiącprocentowy facet, a teraz...
- A teraz? – Weronika aż się zatrzęsła z ciekawości.
- A teraz zachowuje się jak gej. Ty wiesz, że on nawet zaczął się inaczej poruszać? I kiedy pije kawę, to mu malutki paluszek odstaje. Wiesz jak, no nie?
- O rany! A co z seksem? Mówiłaś przecież, że jest niemal doskonały.
- Bo tak było. Był zbyt doskonały. A teraz seksu nie ma.
- Wcale?
- Ani ani. Mówi, że boi się dziecku zaszkodzić.
- Jasna cholera. Niedobrze.
- Pocieszyłaś mnie.
- Trojka, a co mam ci powiedzieć? Dla mnie facet ma problemy z własną osobowością. Może nawet z orientacją seksualną.
- O! To coś tak jak ja. Może to jest zaraźliwe?
- Trojka, ty poważnie myślisz, że Rafał to zakamuflowany gej?
- Perfekcyjnie zakamuflowany. To by miało sens. Który normalny facet wiązałby się z kobietą w ciąży, co? Pomyśl logicznie.
- Facet, który by cię kochał. Bezwarunkowo, z całym dobytkiem.
- Albo utajony gej, który znalazł się w obliczu zdekonspirowania i potrzebował dobrego alibi. Żony i dziecka. Czyli mnie!
- Ciociu! – odezwała się Klementynka. – Niech ciocia przestanie, bo mnie brzuch boli od cioci pomysłów. Rafał utajonym gejem?
- A ty co? Znowu podsłuchiwałaś? – powiedziałyśmy jednocześnie.
- Trudno was nie słyszeć, to są ściany z płyt kartonowo-

- gipsowych. Nawet z słuchawkami na uszach wychwytyję co nieco.
- Chyba musimy zacząć się uczyć szeptu suflerskiego.
- Ciociu, ja wyczuwam ich na kilometr.
- Ja też nie mam nic do gejów. Nawet ich lubię. Ale niekoniecznie muszę się z jednym z nich wiązać.
- Powiedz to Karinie. Albo jej mężowi.
- Coś ty! Jeszcze mu trauma wróci.
- W każdym razie trzeba przeprowadzić śledztwo.
- OK. Wezmę to na siebie – Klementynka była nieoceniona.
- Dziękujemy, ale niektóre sprawy powinni jednak załatwiać dorośli – powiedziałyśmy z godnością.
- Tia. Czyli niby wy? – kpina Klemci nas mocno zakłula.
- Wyobraź sobie. I trochę szacunku dla starszych... – Weronika się zagalopowała, więc musiałam ją kopnąć pod stołem.
- Dla starszych bagażem doświadczeniem – ratowała co się dało.
- Aha! I dojrzej wreszcie, bo inaczej naprawdę nie dożyjemy naszej menopauzy! – dodała groźnie, a po chwili wszystkie trzy się roześmiałyśmy.
- Ciiiiii. Bo mi dziecko obudzicie – powiedziałam szeptem.

* * *

Telefon wytrącił mnie z zamyślenia, ale i pozwolił lekko otrząsnąć się z szoku, w jakim jeszcze byłam po ujrzeniu tego i owego. Nie sądziłam, że wszystko się tak szybko wyjaśni. Czasami jednak sprawy toczą się swoim torem i nic a nic nie możemy na to poradzić. Ktoś mądry powiedział mi kiedyś, gdy buntowałam się przeciwko rzeczom, na które tak naprawdę nie miałam wpływu, na przykład przeciwko temu, że ludzie chorują i umierają „Pozwól rzeczom się dzieć”. W przypadku Rafała też pewnie nie wszczynałabym śledztwa, czekałabym, aż wszystko samo się rozwiąże. Najprościej tak jest, nieprawdaż? Siedzieć, czekać i mieć cały czas nadzieję. Że może jednak się mylisz. Że może dopadły cię halucynacje.

A gdy siedzisz z przyjaciółkami i wszystkie widzicie i czujecie tak samo, to i tak myślisz, że to zbiorowe halucynacje.

Zapewne siedziałabym tak i czekała, gdyby nie to, że gwałtownie potrzebowałam recepty dla Klemci, bo się dziewczyna gdzieś przeziębila. Nie mogłam złapać Rafała pod żadnym znanym mi numerem telefonu, więc w akcie desperacji, bo nigdy nie robię takich rzeczy, to znaczy nie nachodzę znajomych bez telefonicznego uprzedzenia, pojechałam do jego mieszkania. Dość późno już było, więc tym bardziej niepokoił mnie brak łączności z nim. Wjechałam na szóste piętro, bojąc się strasznie, że winda się zatrzyma, a ja przecież mam klaustrofobię.

Stałam przed drzwiami dobre pięć minut, zastanawiając się, czy na pewno powinnam to zrobić. W końcu pomyślałam, że jestem przecież jego kobietą, więc dlaczego nie.

Nacisnęłam przycisk dzwonka i czekałam. Dość długo czekałam. Zza drzwi dobiegały mnie delikatne dźwięki walca Straussa. Stałam tak ze wzrokiem wlepionym w wycieraczkę, gdy usłyszałam, jak ktoś przekręca zasuwę. Nie podnosząc wzroku znad podłogi, odetchnęłam z ulgą, że nie pocałowałam klamki i powiedziałam, gdy drzwi się otworzyły:

– No, nareszcie. Cieszę się, że jesteś – i spojrzałam w górę.

Moje spojrzenie spoczęło na muskularnym ciele i owłosionym do nieprzyzwoitości torsie. Nagim ciele. Nagim torsie. I nagich muskulach. Niestety, nie należały one do Rafała.

Gdy tak staliśmy w drzwiach, mierząc się wzrokiem z owym macho, najpierw usłyszałam głos Rafała:

– Kto przyszedł, kochanie?

A następnie ujrzałam mojego narzeczonego w całej okazałości, jak go Pan Bóg stworzył. Macho przemówił, bardzo cienkim jak na taką sylwetkę głosem. Można by rzec – głosem kastrata.

– A pani do kogo?

I spojrzał na Rafała:

– Rafi, wyjaśnij mi proszę, kim jest ta pani? Mozesz?

Macho stał ze łzami w oczach, drżącym podbródkiem i nerwowo tupał nóżką, a pod wpływem wstrząsów siusiak mu śmiesznie podrygiwał. Nie wiedziałam, czy się śmiać, czy płakać.

Rafi?! Jak Boga kocham, zejść śmiertelnie...

Rafał podszedł do niego, położył mu rękę na plecach i powiedział:

– Ależ, cukiereczku, nie denerwuj się, bo to ci nie służy. Pamiętaj, że masz słabe serce. Zaraz wyjaśnię tę pomyłkę – i wypchnął cukierczka z przedpokoju, a sam wyszedł na korytarz. Założę się, że cukierczek przez cały ten czas stał z okiem przy wizjerze. Gdy odzyskałam głos i krążenie na tyle, że jako tako mogłam ruszać kończynami, postanowiłam przerwać tę niezręczną ciszę:

– O! Proszę. Od dziś mam nowe imię. Pomyłka. Dość ładnie, przynajmniej ładniej niż Helena. Może być Helena Pomyłka.

– Kochanie, wyjaśnię ci – zaczął Rafał.

– Wiesz co? Lepiej wyjaśnij cukierczkowi, bo mnie to już nie obchodzi.

– Trojka, to nie tak, jak myślisz...

– Och, czyżby? Wiem! Kumpel do ciebie przyszedł i graliście w rozbieranego pokera? Albo rura wam pękła? Proszę, daruj mi tę tanią scenę z melodramatu. Ale przyznam ci, że mnie zaskoczyłeś. Gdy wyobrażałam sobie coś podobnego, drugim uczestnikiem wpadki była kobieta. Ja wchodzę do mieszkania, zastaję was w łóżku i mówię: „Rafi, podziękuj pani, zapłać i pożegnaj. Obiad stygnie”. A tu, proszę. Macho prosto z siłowni. Niezły jest nawet. Gust masz w porządku. Dziwię się, że związałeś się ze mną.

– Trojka, ty jesteś śliczna.

– Nie wysilaj się, błagam. Oszukałeś mnie podle. Ale wiesz co? Zaczynam się uodparniać. Skórę na tyłku mam coraz twardszą

– powiedziałam, odwróciłam się i nacisnęłam guzik windy.

Rafał stał i gapił się na mnie.

– No idź już – ponaglałam go. – Bo cukierczek się zapłacze. A on ma słabe serce.

– Ty nic nie rozumiesz...

Winda przyjechała. Wsiadłam i najbardziej ze wszystkiego pragnęłam przez tych kilka sekund, żeby urwały się liny. Co ja takiego musiałam zrobić w poprzednim życiu, że teraz tak dostaję w kość? Moje dziecko też się chyba zdenerwowało całą tą sytuacją, bo zaczęło się wiercić. Z ledwością doszłam do domu i natychmiast popadłam w odrętwienie.

Telefon. Dzwonił jak szalony, a mimo to wcale go nie słyszałam. Dopiero po kilkunastu minutach zaczęły docierać do moich uszu jakieś dźwięki, przypominające dzwonek telefonu.

– Słucham – powiedziałam bez życia.

– Trojka, proszę, pozwól mi wyjaśnić – zebrał Rafał po drugiej stronie światłowodu.

– Pan się pomylił, proszę pana – powiedziałam i odłożyłam słuchawkę.

Telefon dzwonił i dzwonił uparcie. Myślę sobie: no, teraz to ja mu nagadam. I z furją podniosłam słuchawkę.

– Ty wstrętny, podstępny, zakłamany robaku. Jeśli ci się wydaje, że możesz sobie tu dzwonić i zawracać mi głowę bajeczkami, których nie chcę słuchać, to wiedz, że nigdy nie wybaczę ci tego, na co mnie naraziłeś. To jest dziesięć razy gorsze niż to, co zrobił mi mój mąż. Brzydzę się tobą i sobą – i tu musiałam wziąć oddech.

– Trojka, to słyszę, że już wiesz... – smutno powiedziała Karina.

– Aha. Wiem. Nakryłam go in flagranti z owłosionym, przypakowanym, opalonym kochasiem z głosem kastrata. Ale skąd ty wiesz? – zdziwiłam się.

– Z takim brunetem z naželowanymi włosami? – Karina była ciekawa.

– Tak. Mocno zarysowana szczęka? Typ Terminatora?

– No. To ten sam.

– Karinko, ale skąd ty to wiesz?

– Widziałyśmy ich z Weroniką w pubie dla gejów na Tylnej.

– Rany Boskie! A co wy tam robiłyście? Jeśli to pub dla gejów, to jakim cudem was wpuścili?

- Niezupełnie dla gejów. Po prostu dla kochających inaczej. Udawałyśmy lesbijki. I widziałyśmy tam twojego chirurga z tym Terminatorem. Miałyśmy ci właśnie o tym powiedzieć. Aha, masz pozdrowienia od Julii.
- Ją też tam spotkałyście?
- Tak. Ale była sama. Mówi, że nie może o tobie zapomnieć.
- Kto wie, może nie będzie musiała.
- Trojka, daj spokój. Nie popadaj z jednej skrajności w drugą. To niczego nie zmieni. Namieszasz tylko jeszcze bardziej w swoim życiu. Po co ci to?
- Jeszcze bardziej, mówisz? A można namieszać jeszcze bardziej? Najpierw mąż ucieka z tirówką, potem tirówkę odbijają członkowie mafii, jej alfonsi, następnie artysta malarz przejechany przeze mnie nie na śmierć okazuje się ćpunem, moja szefowa jest zakochaną we mnie lesbijką, a aktualny narzeczony okazuje się gejem lub w najlepszym przypadku biseksuałem. Siostra podrzuca mi na wychowanie dojrzewającą nastolatkę, gdy ja nie mam pojęcia o wychowywaniu dzieci. Po czym okazuje się, że jestem w ciąży z własnym mężem, z którym się rozwodzę.
- No. Żadna w zasadzie. Ale widać, że Rafał hołduje maksymie: „Żeby życie miało smaczek, raz dziewczynka, raz chłopaczek”.
- Co jeszcze musi się zdarzyć?
- Już nic. Będziesz miała dziecko i tylko to się liczy. Cała reszta to nic nieznaczące duperELE.
- Co nazywasz duperelami? Moją niesłabnącą chęć do wejścia w normalny związek?
- Też. Po prostu przestań szukać. Miłość sama cię znajdzie, gdy uzna, że nadeszła dla ciebie pora.
- Karina, kleju się nawąchałaś? – spytałam profilaktycznie.
- Co, dziwnie mówię? Musiałam ci to powiedzieć, bo brniesz w ślepą uliczkę. Jestem twoją przyjaciółką, odkąd popsulaś mi wszystkie moje babki w piaskownicy...
- O nie nie nie. Babki popsula ci Weronika. Ja ci je tylko...

- broniałam się.
- Zdeptałaś mi je jak Godzilla. To byłaś ty. A Weronika potem tylko na nie nasikała. Więc nie pozwolę, aby któraś w was zrobiła coś głupiego.
- Karuś, ależ my notorycznie robimy coś głupiego.
- Coś naprawdę głupiego. Myślisz, że nie poradzisz sobie z wychowaniem dziecka jako samotna matka? Myślisz, że jesteś sama? Na Marcinie świat się nie kończy. To, że jest ojcem dziecka, jeszcze go nie upoważnia do tego, by z tobą być. Wiesz, co najlepszego może zrobić ojciec dla swego dziecka?
- Powiesz mi?
- Kochać jego matkę. I nie płacz mi teraz, bo nie czas na łzy. Marcin nie sprawdził się przez tyle lat małżeństwa, to już się nie sprawdzi. Ja nie uznaję egzaminów poprawkowych w takich sytuacjach. Wiem, że można w ten sposób kogoś skrzywdzić, ale lepiej nie ryzykować. Ból jest zawsze ten sam.
- Kiedy wychodziłaś za Marcina, byłaś taka sama jak Klementynka – szalona głowa pełna zwariowanych pomysłów, lecz nadzwyczajny rozsądek, niebywale zrównoważenie, mądrość i szczerłość. Całkowite przeciwieństwo Anki, twojej siostry. Naprawdę nie widzisz siebie sprzed lat, gdy patrzysz na Klementynkę? Po ślubie się zmieniłaś: przygasłaś, przycichłaś. Skuliłaś się. Zamknęłaś w sobie. Gdy Marcin się wyprowadził, znowu byłaś tamtą nastolatką z silnym charakterem i błyskiem w oku. I ani ja, ani Weronika, nie pozwolimy, byś teraz straciła ten błysk.
- Co zrobimy? – spytałam bezradna jak dziecko.
- To, co mamy zrobić. Ty urodzisz dziecko, a my pomożemy ci je wychować. A w międzyczasie znajdzie się twoja połówka pomarańczy.
- Nie wiem, czy to takie w życiu ważne, żeby znaleźć tę połówkę. Najistotniejsze chyba, by żyć w zgodzie z sobą, żyć tak, jak się chce, czerpiąc jak najwięcej przyjemności, radości i nie wyrządzając przy tym krzywdy innym. Takie jakieś refleksje mnie naszły po

rozmowie z Kariną, która mnie bardzo wzruszyła. Cudowna jest taka przyjaźń od deski piaskownicy do grobowej. Nie będę za wszelką cenę zmieniała mojego życia. I tak już zmieniło się niewyobrażalnie. Ot, tak, zwyczajnie pozwolę rzeczom się dziać.

W tym całym zamieszaniu, zupełnie zapomniałam, że Klementynka jest w domu. W jej pokoju było tak cicho, że najprawdopodobniej musiała spać.

Drzwi otworzyły się i stanęła w nich zmizerowana, zasmarkana, rozczochrana 13-latka. Wyglądała, jakby dopiero co wstała z łóżka.

– Klementynko, wracaj do łóżka. Musisz się wypocić.

– Jak ja mogę chorować, gdy ważą się losy ludzkości?

– Ej tam, bez przesady. Znowu nie całej ludzkości.

– Nie całej, ale tej dla mnie najważniejszej.

– Podśluchiwałaś? – nagle mnie oświeciło.

– Troszkę. Przecież mówiłam, że muszę pilnować, żeby ciocia znowu nie weszła w żadną kupę.

Klementynka spojrzała na mnie wzrokiem mojej matki, a swojej babci.

Uważnym, spokojnym, troskliwym. Wzrokiem dojrzałej kobiety – nie zbuntowanej nastolatki.

– Ciociu, będzie dobrze. Pozwólmy rzeczom się dziać. A szczęście, idealny facet, miłość na całe życie? Jak to mówią, takie rzeczy to tylko w Erze.

Hm... Nie wiedziałam, że wśród wielu talentów Klementynka umie jeszcze czytać w myślach.

Pozwolimy, jasne, że pozwolimy, aby rzeczy po prostu się działy.

Choć coś czuję, że będą kłopoty.

* * *

EPILOG

Moja córka, Antonina, urodziła się w samochodzie, gdyż Karina stwierdziła, że to nic, jak odeszły wody płodowe i że zdąży mi spakować połowę mieszkania, zanim zacznie się akcja. Jednak nie zdążyła i poród profesjonalnie odebrała Klementyna.

Weronika prowadziła samochód, a Karina histeryzowała.

Rodzicami chrzestnymi Antoniny zostali Julia i Rafał (nie umiem długo chować urazy). Lesbijka i gej – Klemcia mówi, że Antosia nieźle zaczyna życie.

Mieczysława jednak nie chciała dłużej stać przy drodze i buduje szczęście z moim eksmężem.

Anka, siostra moja, nadal siedzi w Iraku, skąd przysyła dużo czeków.

Po powrocie ze szpitala zastałam w moim mieszkaniu, które rozszerza się najwyraźniej pod wpływem ciepła, komitet powitalny w składzie: Rafał z cukiereczkiem, Julia z Romaną (która rzuciła holenderską żonę), Marcin z narzeczoną Mieczysławą, Daniel z blejtrmem (natychmiast zaczął mnie i Antosię malować) i Klementynka z Siwym.

O Weronice i Karinie nie wspominam, bo to oczywiste. Szanse na to, że Antosia będzie zdrowym na umyśle dzieckiem są mizerne, biorąc pod uwagę wyżej wymienionych.

Aha, Siwy przyprowadził swojego ojca. Nawet fajny ten ojciec Siwego.

Towarzystwo z lekka patologiczne, a mimo to zaryzykuje.

A co się tak będę w rogu kurzyć...

Wiele się ostatnio nauczyłam. Nie ukrywam, że od Klementynki.

Najlepszą zemstą za cierpienie, jest po prostu... udane życie.

